ECHA LEŚNE



CZASOPISMO ILUSTROWANE

№ 6 Czerwiec 1932 r. ROK IX.

Cena 1 zł. 40 gr.

ECHA LEŚNE

CZASOPISMO ILUSTROWANE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA W WARSZAWIE, NOWY ŚWIAT 36 — 8. TELEFON 230-75

Rok IX | Warszawa, Czerwiec 1932 r. | Nr. 6



Nie damy morza!

LASY MNIEJSZEJ WŁASNOŚCI I NIEUŻYTKI

Zupełnie słuszny i praktyczny projekt podał p. Dzwonek w artykule swym „Lasy mniejszej własności, a zalesianie nieużytków" w Nr. 1 „Ech Leśnych" z r. b.

Każdy leśnik pracujący na gruncie potwierdzi, że lasy mniejszej własności są w stanie opłakanym, a częściowo nawet grozi im zagłada zupełna, t. j. zamiana na nieużytki.

Przeciętny przyrost z 1 ha lasów mniejszej własności jest bardzo niski. Jest on niższy o 1.34 m³ od przeciętnego przyrostu lasów państwowych.*) Przyczyną tak niskiej wydajności jest zupełny brak należytych zabiegów hodowlanych.

Uprawy prowadzone są dorywczo i bardzo niedbale.

Poprawki prawie nigdy nie są stosowane. Czyszczenia są wyjątkami, w najlepszym razie zabieg ten przychodzi za późno. Trzebieże, wobec słabego zwarcia, rzadko mogą mieć miejsce. Rabunkowe grabienie ściółki uprawiane jest corocznie.

Pozatem wskutek zbiednienia, drobny rolnik, ratując swą rodzinę w ostatniej biedzie, sprzedaje ocalałe poprzednio, lub otrzymane przy parcelacji drzewostany na pniu, często w okresie drągowizny lub krokwizny.

Konieczne jest uregulowanie tych spraw, drogą ustawy o zagospodarowaniu lasów mniejszej własności leśnej, przyczem organami wykonawczymi byliby leśni instruktorzy powiatowi.

Tylko ustawa dać może należyte ramy szerokiej pracy. Także ustawa o zalesianiu nieużytków wydaje mi się konieczną.

„Sercem" daleko zajść można, ale nie wszędzie.

Przy zalesianiu nieużytków prywatnych „dobre słowo" i zachęta często wystarczają, ale kiedy dojdziemy do nieużytków wspólnych, gromadzkich, to najlepsze nasze chęci i serdeczne przekonywania rozbijają się o opór i niezgodę ludzką, a właściwie o brak ram ustawowych.

Przyznać trzeba, że użytkowanie wspólne lasu jest w naszych warunkach niemożliwe. Więc pozostaje tylko ustawowy podział nieużytków, czy „pastwisk" gromadzkich na działki prywatne i ustawowe zorganizowanie spółek leśnych.

Spółki leśne zapewne będą punktem wyjścia w przyszłej ustawie o zagospodarowaniu lasów mniejszej własności.

Autor, wspominając o powierzchni nieużytków w Polsce, wymienił cyfrę 800.000 ha. Cyfra ta wydaje mi się bardzo małą.

W r. 1929, w Nr. 2 „Sylwana" w artykule „Nieużytki w Polsce", określiłem powierzchnię nieużytków w kraju na 3.916.205 ha.

Cyfrę tę otrzymałem z zestawień, podanych w wydawnictwach Głównego Urzędu Statystycznego.

Wynosiłaby więc ta powierzchnia zaledwie 10.2% powierzchni całego kraju. Byłby to procent bardzo mały.

Zdaję sobie sprawę z pewnych nieścisłości, ale nieścisłości te tkwiły już w źródłach, z których je czerpałem.

Przedewszystkiem znalazłem w wydawnictwach Głównego Urzędu Statystycznego rubrykę Nr. 11 zatytułowaną „Nieużytki", a równocześnie rubrykę Nr. 6 zatytułowaną „Pastwiska stałe, połoniny i wrzosowiska".

Rubryki te połączyłem.

Każdy leśnik przyzna, że wrzosowiska są wybitnemi nieużytkami. Pastwiska stałe, a także połoniny niestety tymczasem także do nieużytków zaliczyć musimy, bo znamy ich „użyteczność". Są to przestrzenie przeważnie poleśne, porośnięte jałowcem i lichemi jałowemi trawami. Bydło, wypędzone na te „pastwiska", użyć może tylko ruchu, powietrza i słońca, najmniej jednak pożywienia.

Przy wyliczaniu rodzajów nieużytków w różnych publikacjach zjawia się często cały szereg nieścisłości, niedomówień, które należałoby wyjaśnić i ustalić.

Do nieścisłych określeń należą *torfowiska*. Niewiadomo bowiem, czy mowa jest o torfach, t. j. przestrzeniach produkujących torf, a więc użytecznych, czy też o dołach po wybranym torfie. Mojem zdaniem należy pojęcia te rozróżniać, t. j. torfy (tereny torfowe) zaliczać do przestrzeni użytkowych, a torfowiska, t. j. doły po torfie — do przestrzeni nieużytecznych.

Zdarzyło mi się spotkać wykaz nieużytków bardzo poważnej instytucji leśnej, gdzie jako nieużytki wymieniono: drogi, linje leśne i wody.

Przyznać trzeba, że drogi i linje leśne są powierzchniami wybitnie użytecznemi. Drogi i linje poniżej 6 m. szerokości nawet nie wpływają na zmniejszenie przyrostu drzewnego z ha, a pozatem posiadają cały szereg celowych i ważnych przeznaczeń, których wymieniać w piśmie leśnem nie potrzebuję.

Wody zasadniczo też są przestrzeniami użytkowemi. Nie można ich zaliczać do nieużytków (oprócz wyjątków), dla tej samej przyczyny, dla jakiej nie zaliczamy do nieużytków dobrej gleby ornej, której jednak ktoś nie użytkuje.

W celu omówienia tych spraw i poddania krytyce, proponuję ze swej strony następujący podział nieużytków.

1. Piaski zwiewne (lotne, ruchome).
2. Wrzosowiska.
3. Liche pastwiska i połoniny.
4. Liche pola orne zasiewane w paroletnich odstępach.
5. Bagna i torfowiska.
6. Strome stoki i jary.
7. Szutrowiska i usypiska nadrzeczne.

Po ustaleniu tych danych będzie można przystąpić do ściślejszych zestawień statystycznych.

Tymczasem jednak otrzymuję w przybliżeniu ogólną ilość nieużytków w kraju na 3.916.205 ha, zaznaczając, że są to dane oparte na wydawnictwach Głównego Urzędu Statystycznego *podług spisu z r. 1921.* Przestrzenie nieużytków zalesione w ciągu ostatniego dziesięciolecia zmniejszą tę powierzchnię.

Tych ostatnich danych zapewne udzieli do powszechnej wiadomości Wydział Leśnictwa Ministerstwa Rolnictwa.

Ogólna ilość 3.916.205 ha nieużytków nie może jednak w całości podlegać zalesieniu.

Cała ta przestrzeń powinna podlegać t. zw. *zagospodarowaniu nieużytków*. To znaczy, że część nieużytków powinna być przy odpowiedniej meljoracji oddana pod uprawę rolną, lub ogrodową, częściowo pod uprawę łąk i dobrych pastwisk, niewielki procent pod gospodarstwo rybne. Pozostałe przestrzenie przypadną w udziale leśnikowi i stanowić bę-

---

*) „Lasy i leśnictwo w Polsce", Jan Miklaszewski, tom I, str. 148.

dą zapewne niewiele więcej ponad 50%.

Zanim jednak uzyskamy odpowiednie zestawienia statystyczne, oraz pewne uregulowanie tych spraw, pracujmy nadal na gruncie w tej nadziei, że doczekamy się ustawy, któraby dała możność zorganizowania pracy w naszych opuszczonych lasach mniejszej własności.

Przestrzeń lasów mniejszej własności stale wzrasta, wskutek regulacji serwitutów i parcelacji większej własności.

Ustawa więc objęłaby:

1. Obecnie istniejące lasy i laski mniejszej własności.
2. Lasy uzyskane przy regulacji serwitutów.
3. Lasy nabyte przy parcelacji większej własności.
4. Lasy (względnie uprawy i młodniki) powstałe przez obecne i przyszłe zalesianie nieużytków.

Bez należytego ujęcia ustawowego, wszystkim tym kategorjom lasów grozi stopniowa zagłada.

Jakkolwiek „Ustawa o zagospodarowaniu lasów nie stanowiących własności Państwa" (Rozp. Prez. Rzeczyp. z dn. 24.-VI.-27 r.) obejmuje także lasy poniżej 50 ha, jednak czuwanie nad ochroną lasów mniejszej własności jest znacznie trudniejsze, niż nad lasami większej własności.

Dla lasów mniejszej własności leśnej konieczna jest odrębna ustawa, która ustaliłaby organizację administracji tych lasów przy ścisłym nadzorze i prawidłowej gospodarce leśnej.

Inż. W. Dakowski.

ROLA POLSKI W MIĘDZYNARODOWEM POROZUMIENIU DRZEWNEM

Zachwianie równowagi na rynkach światowych pomiędzy podażą a popytem drewna powstało z jednej strony wskutek zmniejszenia się zdolności konsumcyjnej krajów importujących materjały drzewne i dumpingowej polityki drzewnej Rosji Sowieckij, co wywołało konkurencję innych państw eksportujących drewno. Musiało to w konsekwencji doprowadzić zainteresowanych do zastanowienia się nad wytworzoną sytuacją i szukania ratunku w próbach międzynarodowego porozumienia.

Niepoślednia, jeśli nie wprost dominująca rola w tej akcji przypada Polsce, która dzięki swej umiejętnej inicjatywie stała się promotorem idei międzynarodowego porozumienia drzewnego w tej formie, w jakiej się ona obecnie kształtuje. Polska bowiem, intensywnie poszukując dróg wyjścia z własnego kryzysu drzewnego, wcześniej od innych doszła do przeświadczenia, że gruntowne uzdrowienie gospodarki drzewnej państw eksportujących drewno jest możliwe tylko na tle równoczesnej poprawy stosunków na międzynarodowych rynkach drzewnych przedewszystkiem przez dostosowanie podaży do popytu.

W przewidywaniu, że wcześniej czy później dojrzeje sprawa międzynarodowego porozumienia drzewnego, powołano w Polsce do życia organizacje eksportowe najważniejszych dla niej sortymentów drzewnych, a po ich utworzeniu wystąpiono odrazu z inicjatywą akcji międzynarodowej, której wynikiem było zwołanie przez Polskę w czerwcu 1931 r. konferencji siedmiu państw, stanowiących zespół północnych eksporterów drewna, t. j. Szwecji, Norwegji, Finlandji, Łotwy, Estonji, Z.S.R.R. i Polski.

Konferencja ta, odbyła się w Warszawie i pomimo wielkiego pesymizmu, jaki towarzyszył jej zwołaniu, wykazała nietylko wielkie zainteresowanie polską ideą międzynarodowego porozumienia drzewnego, lecz uznała realizację tej idei za pożądaną i wykonalną. Ustalono mianowicie podstawy takiego porozumienia, polegające na przyjęciu przez każde państwo norm eksportu drzewnego i zobowiązaniu stosowania się do tych norm.



Dalszy przebieg sprawy jest mniej zachęcający, gdyż Szwecja, której powierzono przeprowadzenie na ten temat odpowiednich pertraktacyj, nie mogąc uzgodnić swych poglądów z Finlandją, a przedewszystkiem z Rosją Sowiecką, złożyła mandat, powierzony jej przez Konferencję Warszawską.

Wkrótce potem sprawa znów odżyła na terenie międzynarodowym i to ponownie dzięki polskiej inicjatywie. Oto na międzynarodowym Kongresie Drzewnym, który odbył się przed kilku miesiącami w Paryżu, referat inż. Władysława Barańskiego p. t.: „Kryzys drzewny na tle światowego przesilenia gospodarczego", będący próbą spopularyzowania, na terenie państw importujących drewno, idei zaakceptowanych przez Konferencję Warszawską, stał się ośrodkiem prac jednej z sekcyj, a końcowe jego wnioski były podstawą rezolucji Kongresu w sprawie międzynarodowego porozumienia drzewnego.

Następnie, z inicjatywy ministra Doleżala, sprawą zainteresował się Komitet Ekonomiczny Ligi Narodów, który, opierając się na tezach wymienionego referatu, spowodował zebranie się w końcu kwietnia r. b. Konferencji rzeczoznawców drzewnych w Genewie, w której wzięło udział 9 państw eksportujących drewno (Szwecja, Finlandja, Łotwa, Rosja, Polska, Czechosłowacja, Jugosławja, Rumunja i Austrja (oraz 3 importujące: Francja, Niemcy i Włochy). Anglja i Holandja, będące także importerami drewna, przysłały jedynie obserwatorów.

Na tej Konferencji nie osiągnięto porozumienia, głównie na skutek różnic w poglądach eksporterów północnych i niezdecydowanego stanowiska państw importujących, które — poza Francją — brały raczej bierny udział w obradach. Tem niemniej pozyskano dla tez polskich państwa środkowoeuropejskie (Czechosłowację, Austrję, Rumunję, Jugosławję i Łotwę), które łącznie z Polską opracowały wspólną rezolucję, stwierdzającą potrzebę podjęcia akcji, mającej na celu dostosowanie w poszczególnych krajach produkcji drewna do wysokości przyrostu masy drzewnej w lasach dostępnych dla ekspoatacji, jak również dostosowanie w drodze układów między zainteresowanemi pań-

stwami podaży materjałów drzewnych do rzeczywistego zapotrzebowania rynku zbytu.

Aczkolwiek w wyniku obrad genewskich odbędzie się w najbliższych dniach w Berlinie narada przedstawicieli Z.S.R.R., Szwecji i Finlandji w sprawie ustalenia rozdziału kontyngentu drzewnego między temi krajami, oraz zebranie przedstawicieli Z.S.R.R., Jugosławji, Rumunji i Polski, dotyczące eksportu dębiny, a w czerwcu roku bieżącego ma się odbyć w tych sprawach w Wiedniu ogólna konferencja zainteresowanych państw — to nie należy oddawać się zbytniemu optymizmowi, bo różnorodne interesy poszczególnych eksporterów mogą wszelkie porozumienie odwlec, bądź nawet narazie uniemożliwić.

Jakkolwiek się jednak będzie sprawa ta przedstawiała, pozostaje rzeczą niewątpliwą, że Polsce przypadł zaszczyt zainicjowania tych konferencyj, a przedewszystkiem zwycięskiego przeprowadzania na nich tez polskich delegatów, co posiada dla naszego kraju ogromne moralne i praktyczne znaczenie.

Stefan Ruśkiewicz
leśnik-ekonomista

CZŁONKOWIE GŁ. KOMISJI NAUKOWEJ Z. Z. L.



PROF. INŻ. ADAM SCHWARZ
Przewodniczący Gł. Komisji Naukowej.



Inż. JAN HAUSBRANDT
Kierownik referatu naukowo-doradczego.



Inż. WŁADYSŁAW BARAŃSKI
Kierownik działu propagandy leśnictwa zagranicą, red. „Bulletin forestier polonais"



Inż. BOLESŁAW NOWACKI
Kierownik działu propagandy leśnictwa w kraju.



Inż. JÓZEF KOSTYRKO
Kierownik referatu kulturalno-oświatowego.

Z DZIAŁALNOŚCI KOMISJI NAUKOWEJ ZW. ZAW. LEŚ.

W programie prac Komisji Naukowej na r. sprawozdawczy 1931-32, poza czuwaniem nad rozwojem działalności agend tej Komisji przy oddziałach Związku Leśników, przewidziane było opracowanie niezmiernie ważnych dla leśników projektów ustaw:

1. Ustawy o zagospodarowaniu lasów, nie stanowiących własności państwa.
2. Ustawy o zawodzie leśnika.

Ważniejsze tezy do projektu ustawy pierwszej zostały podane do wiadomości Sz. Czytelników w n-rze majowym E. L., p. tyt. „Reforma ustawodawstwa leśnego". Projekt poprawek do poszczególnych artykułów został przesłany do komisji sejmowej do spraw leśnych, na specjalne żądanie, w kwietniu b. r. Zaznaczono przytem, że Komisja Naukowa opracowuje ponadto odrębny projekt ustaw dla lasów publicznych (niepaństw.) i prywatnych, artykuł tej ustawy, oraz projekt ustawy o zawodzie leśnym.

Projekt ustawy o zawodzie leśnika, jak nas informują, jest już wykończony i przed zjazdem delegatów w r. bież. zostanie przedłożony do rozpatrzenia czynnikom rządowym i ustawodawczym. Na mocy tej ustawy leśnictwo uzyskałoby wreszcie obywatelstwo zawodowe, o które od szeregu lat leśnicy zabiegają w imię rozwoju leśnictwa i dla dobra samego lasu, a pośrednio dla dobra samych właścicieli lasów. *B.*

ZWIEDZAJCIE PUSZCZĘ BIAŁOWIESKĄ

Ruch krajoznawczy i zainteresowanie się społeczeństwa pięknem i bogactwami naturalnemi Puszczy Białowieskiej stale wzrasta. Ilość zwiedzających w r. 1925 wynosiła 3.000 osób, zaś w r. 1931 już 16.000.

SCHRONISKO W BIAŁOWIEŻY

Wobec tak licznego napływu wycieczkowiczów w r. 1931 zostało otwarte w Białowieży schronisko turystyczne. Schronisko to znajduje się na terenie parku pałacowego i posiada wszelkie wygody, jak: wodociągi, centralne ogrzewanie, oraz oświetlenie elektryczne. Trzy sale z odpowiednią obsługą, mieszczące 100 łóżek, zapewniają turystom wygodny nocleg.

Koszty pobytu w schronisku wynoszą od osoby na dobę:

Nocleg — łóżko z całkowitą pościelą . . . . . 2,50 zł.

Nocleg — łóżko z materacem i prześcieradłem . 1,20 zł.

Usługa . . . . 0,20—0,50 zł.

UDOGODNIENIA

Przybywające do Białowieży wycieczki spotyka na stacji kolejowej delegat Parku Narodowego. Do wycieczek zbiorowych przydzielany jest bezpłatny przewodnik. Przepustki do Parku Narodowego, do Zwierzyńca Żubrzego i karty wstępu do Muzeum wydawane są w schronisku.

Pobyt w Parku Narodowym urozmaicają gościom przejażdżki łódkami na stawach, tenis, fontanna i wodospad, oświetlany wieczorem różnokolorowem światłem.

Zwiedzający Białowieżę stołują się zazwyczaj w Kasynie w Parku Pałacowym.

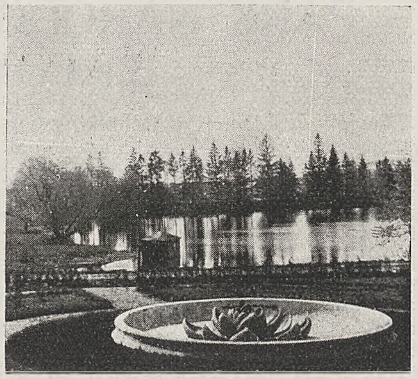
Utrzymanie całkowite w Kasynie wynosi od osoby dorosłej . . . . 4,80 zł.



Puszcz imperator...

zaś dla młodzieży szkolnej i akademickiej . . . 3,40 zł.

Karty wstępu i przepustki do Parku Narodowego, Zwierzyńca i Muzeum kosztują łącznie . . . . 1,50 zł.



Piękny widok na staw z tarasu pałacyku myśliwskiego

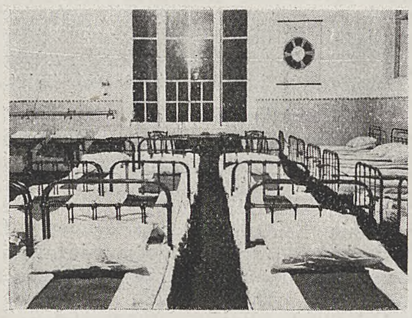
Karty i przepustki ulgowe (dla młodzieży szkolnej i akademickiej) . . . 0,60 zł.

Zarząd Parku Narodowego udziela wszelkich informacyj oraz przyjmuje zamówienia miejsc w w schronisku. Adres: Białowieża, Kierownik Parku Narodowego.

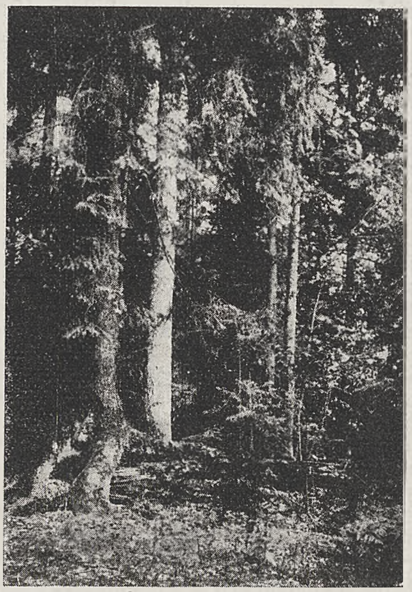
CUDZE CHWALICIE,
SWEGO NIE ZNACIE,
SAMI NIE WIECIE,
CO POSIADACIE!
ZWIEDZAJMY PERŁĘ
PUSZCZ POLSKICH
PARK NATURY
W BIAŁOWIEŻY!



Jednodniowa latorośl królów puszczy



Fragment schroniska



Jądro gęstwiny...

PARK NARODOWY W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

Postępy cywilizacji i techniki gospodarczej coraz bardziej ograniczają pole działania sił przyrody, pozostawionych samym sobie. Człowiek dla celów gospodarczych usiłuje wszędzie naginać przyrodę do swoich wymagań, kierując naturalne jej siły do sztucznie wybudowanych łożysk. Kultura rolna, leśna i ogrodnicza, wprowadzając czynnik „sztuczności" do procesów odbywających się w przyrodzie, wydziera naturze i przerabia dla celów gospodarczych coraz to większe obszary.

Równolegle jednak z postępem cywilizacji i techniki gospodarczej zauważyć się daje wzrost tendencyj, propagujących hasło „powrotu do natury", znajdujące żywy oddźwięk w instynktownej tęsknocie człowieka cywilizowanego do pierwotnej przyrody. We wszystkich kulturalnych społeczeństwach, zarówno instytucje państwowe, jak i organizacje społeczne rozwijają żywą akcję na polu ochrony przyrody. Jednem z najważniejszych dla ochrony przyrody zagadnień jest zagadnienie utrzymania w nieskażonej postaci takich objektów, nienaruszonych przez działalność człowieka, któreby mogły grać rolę pomników pierwotnej przyrody. Do spełnienia takiej właśnie roli powołane są, między innemi, rezerwaty leśne, obejmujące obszary wyłączone z pod trybu gospodarki.

Zachowanie w rezerwatach leśnych przyrody w jej nieskażonej postaci sprawia, iż stanowią one nietylko pociągające dla turystów i estetów objekty wędrówek, odbywanych w pogoni za szlachetną emocją, ale że ponadto są one pierwszorzędnym warsztatem pracy naukowej dla przyrodników różnych specjalności, a przedewszystkiem dla leśników. Studja prowadzone w lasach, wyeliminowanych z pod wpływu działań gospodarczych człowieka, pozwalają badać twórcze siły przyrody u samego źródła — w ich postaci niejako potencjonalnej, wykrywać istotę praw rządzących rozwojem i życiem lasu, jako żywego organizmu. Olbrzymie znaczenie takich badań dla praktycznego leśnictwa staje się łatwo zrozumiałem, jeżeli wziąć pod uwagę, że działalność gospodarcza leśnika w zakresie hodowli i pielęgnowania drzewostanów polega właśnie na wykorzystywaniu tkwiących w organizmie lasu twórczych sił przyrody i na właściwem regulowaniu wzajemnych oddziaływań między temi siłami wewnętrznemi, a wpływem czynników zewnętrznych.

O powołaniu do życia Parku Narodowego w puszczy Białowieskiej zadecydowały zarówno względy na utworzenie jedynego w swoim rodzaju pomnika przyrody, mającego zachować w pierwotnej postaci pewną całość fizjograficzną, jak również wzgląd na zarezerwowanie dla celów badawczo-leśnych charakterystycznego objektu pierwszorzędnej wartości naukowej. Obszar Parku Narodowego obejmuje 4640 ha. Stanowi on nieprzerwany kompleks, graniczący od południa z tak zwaną Polaną Białowieską, z innych zaś stron otoczony lasem. Wybór terenu padł na ten kompleks przedewszystkiem dlatego, iż nie był on naruszony przez gospodarkę człowieka (nie tknęła go nawet siekiera okupantów), a następnie dlatego, że zawiera nader bogato reprezentowaną florę i faunę puszczańską. W Parku Narodowym występują wszystkie zasadnicze typy drzewostanów puszczańskich, a mianowicie: 3 typy borów — *bór sosnowy, bór sosnowo-świerkowy i bór mieszany* (sosnowo-świerkowo-dębowy), — 3 typy drzewostanów liściastych — *grond właściwy*, zawierający w swoim składzie graby, dęby, lipy i klony, *grond mieszany*, zawierający oprócz gatunków występujących w grondzie właściwym, jeszcze jesiony, olsze, wiązy, brzozy i osiki, oraz *ols* (drzewostany jesionowo-świerkowo-olszowe). Ponadto występuje w Parku Narodowym typ *lasu bagiennego*. Jako typ przejściowy spotykane bywają również *czyste świerczyny*.

W Parku Narodowym reprezentowane są za wyjątkiem jodły wszystkie gatunki drzew, występujące na terenie całej puszczy Białowieskiej, (jodła występuje w Puszczy w postaci niewielkiej kępy w uroczysku Nikor, wyodrębnionej jako osobny rezerwat). Niezmiernie bogatą jest flora runa leśnego w Parku Narodowym. Reprezentuje ją do 1000 gatunków roślin kwiatowych oraz znaczne ilości paproci, mchów, widłaków, porostów, grzybów i innych roślin niżej uorganizowanych. Na specjalną uwagę zasługują takie rośliny runa, jak trawa żubrówka, goryczka, mieczyki, lilja złotogłów, koniczyna łubinowata, kosaciec syberyjski, aster leśny.

Zwierzostan Parku Narodowego jest również bardzo urozmaicony. Występują na jego terenie wszystkie gatunki zwierząt łownych puszczy Białowieskiej, jak jeleń, sarna, dzik, ryś, wilk, lis, wydra, kuna, tchórz, gronostaj, łasica, zając, wiewiórka.

Z ptaków występują: głuszce, cietrzewie, jarząbki, orły, sokoły, myszołowy, błotniak, jastrzębie, kanie, czaple, czarne bociany, kruki i wiele innych. Z pośród przedstawicieli innych gromad świata zwierzęcego na specjalną uwagę zasługują żółw błotny i żmija zygzakowata.

Olbrzymie znaczenie Parku Narodowego w Białowieży, jako objektu badawczego i turystycznego, nie ogranicza się tylko do Polski. Na obszarze całej środkowej i zachodniej Europy białowieski Park Narodowy stanowi jedyny wielki kompleks lasu pierwotnego na nizinie. W warunkach klimatycznych centralnej i zachodniej Europy, poza Parkiem Narodowym w Białowieży, innych kompleksów pierwoboru niżowego wogóle niema. To też białowieski Park Narodowy stanowi nader silny magnes przyciągający do Polski licznych turystów i badaczy cudzoziemskich nietylko z Europy, ale i z innych części świata.

Jako niezmiernie ciekawy dla leśnictwa objekt pracy badawczej Park Narodowy w Białowieży stanowi łącznie z innemi rezerwatami w lasach państwowych — przedmiot specjalnego zainteresowania Zakładu Doświadczalnego L. P., do którego zadań należy między innemi organizowanie studjów na terenach rezerwatów państwowych, opracowanie naukowe Parku Narodowego w Białowieży, opracowanie, któreby mogło doprowadzić do wyjaśnienia całego szeregu skomplikowanych zagadnień odnowieniowych, przyrostowych, strukturalnych—będzie ono wymagało oparcia się na uprzedniem przeprowadzeniu licznych prac przygotowawczych, a przedewszystkiem na dokładnem zbadaniu siedlisk. Jako pracę wstępną do sporządzenia gleboznawczo-leśnej mapy Parku Narodowego, wymienić należy prowadzone obecnie przez Dyrekcję Lasów Państwowych w Białowieży pomiary i prace nad przygotowaniem szczegółowego planu warstwicowego rezerwatu. W toku jest również przygotowywanie laboratorjum w jednym z gmachów osady pałacowej w Białowieży. Laboratorjum to służyć będzie w zasadzie dla pracowników Zakładu Doświadczalnego, jednakże inni pracownicy naukowi również będą mogli mieć ułatwione korzystanie z niego podczas pobytu w Białowieży. Przewidziane jest urządzenie przy laboratorjum paru pokojów gościnnych, dla przyjezdnych badaczy krajowych lub zagranicznych. Z prac, dotyczących badań nad biocenozą lasów puszczańskich, prowadzone są obecnie przez Kierownika Parku Narodowego inż. J. J. Karpińskiego studja nad zrzeszeniami korników.

Praca inż. Karpińskiego o faunie korników Puszczy na tle typów drzewostanów znajduje się w druku.

PAŃSTWOWA SZKOŁA DLA LEŚNICZYCH W BIAŁOWIEŻY.

W celu wychowania i wykształcenia odpowidnich kandydatów na stanowiska leśniczych służby zewnętrznej i biurowej, Administracja L. P. prowadzi w swym zarządzie 5 szkół dla leśniczych, o charakterze niższych szkół zawodowych. Kandydaci, w wieku 17 — 20 lat, z wykształceniem odpowiadającem 7 oddziałom szkoły powszechnej, przyjmowani są po odbyciu wstępnej, najmniej jednorocznej praktyki w Lasach Państwowych. Ogólny czas nauki (szkoła i praktyka) trwa 2 lata, w czem 11 miesięcy nauki w szkole oraz rok praktyki, po której odbyciu absolwenci otrzymują świadectwa ostateczne z ukończenia szkoły.

Kurs nauk obejmuje przedmioty fachowo-leśne, prowadzone na poziomie odpowiadającym zakresowi działania leśniczych w L. P., naukę administracji i biurowości w Administracji L. P., oraz niektóre przedmioty ogólno-kształcące.

Nauka w szkołach jest bezpłatna. W celach gospodarczych i wychowawczych szkoły prowadzą internaty, w których młodzież znajduje się pod opieką wykładowców. Koszta utrzymania w internacie ponoszą uczniowie.

Państwowa Szkoła dla Leśniczych w Białowieży została uruchomiona w 1929 r. Mieści się ona w Pałacu myśliwskim, obok Muzeum przyrodniczego. Szkoła w Białowieży, korzystając z Puszczy, jako z najciekawszego bodaj objektu leśnego Polski, kształci przyszłych leśniczych, ilustrując wykłady teoretyczne pokazami i ćwiczeniami w terenie.

Kierownictwo Szkoły prowadzi internat na 35 uczniów, w którym utrzymanie kosztuje 75 zł. miesięcznie.

W celu rozwinięcia życia towarzyskiego, akcji samopomocowej i kulturalno-oświatowej, oraz życia sportowego, uczniowie są zrzeszeni w związku „Braci Puszczańskiej". „Brać Puszczańska" posiada swój sztandar, własną bibljotekę i urządzenia sportowe.

L. P.

LASY i LEŚNICTWO ZAGRANICA

WŁOSKA NARODOWA MILICJA LEŚNA

W ostatnich czasach modne się stały przeróżne skróty nazw organizacyj i instytucyj, a właściwie nawet nie skróty, lecz tajemnicze i dla zwykłych śmiertelników niezrozumiałe zestawienia liter.

Istnieją w Polsce: PIM, GUZ, SUP, ZUP, KOP, PKO, PKP, DLP i wiele, wiele innych.

Mają swoje tajemnicze skróty i Włosi, a wśród nich jeden krótki, lecz bardzo popularny: MF.

Te dwie litery oznaczają „Milicję Leśną", której pełna nazwa brzmi „Milizia Nazionale Forestale" (Narodowa Milicja Leśna).

Nie wymaga najmniejszego wyjaśnienia twierdzenie, że wszelkie ustawy państwowe wtedy tylko spełniają swe zadanie, gdy zapewniony jest należyty nadzór nad ich wykonaniem. Słuszności tego twierdzenia doznały w gorzki sposób lasy włoskie: ustawa o ochronie tych lasów, wydana w r. 1877, sama przez się była dobra i tam, gdzie należycie została wprowadzona w życie, spełniła swoje zadanie.

W ciągu kilku jednak dziesiątków lat służba ochrony lasów była słabo zorganizowana i obywatele, którym niezbyt dogadzała ochrona lasów, z łatwością się od niej uchylali. A lasy rzedły i topniały w przeraźliwy sposób.*)

W celu położenia kresu dotychczasowemu stanowi rzeczy zorganizował M u s s o l i n i w r. 1926 Milicję Leśną. Jak sama nazwa wskazuje, jest to organizacja o charakterze wojskowym.

Mija szósty rok istnienia tej organizacji, jedynej w swoim rodzaju na świecie.

W prasie polskiej tylko dwukrotnie spotkałem się z krótkiemi wzmiankami o Milicji włoskiej, a mianowicie w artykule A r n o l d a M u s s o l i n i e g o w krakowskim „Przeglądzie Współczesnym", w zeszycie za sierpień — wrzesień 1930 i w artykule inż. A n t o n i e g o S a n o j c y „Polityka lasowa w faszystowskich Włoszech" ogłoszonym w „Sylwanie" za styczeń — marzec 1931 r., a będącym streszczeniem poprzedniego.

Osobiście śledzę rozwój i działalność Milicji od chwili jej powstania, miałem możność zetknięcia się z nią bezpośrednio we Włoszech i z jej wybitnymi przedstawicielami na terenie międzynarodowym.

Uważając włoską organizację państwowej służby leśnej za niezwykle oryginalną i ciekawą, pragnę zapoznać z nią bliżej nasze społeczeństwo leśne.

Dekret — ustawa o organizacji Milicji Leśnej z r. 1926, zmieniony dekretem — ustawą z 1928 r., w następujący sposób przedstawia cele i zadania Milicji:

„Narodowa Milicja Leśna zostaje utworzona dla wykonywania czynności, powierzonych Ministerstwu Rolnictwa i Lasów w dziedzinie gospodarstwa górskiego i leśnego, dla nadzoru nad łowiectwem, rybołóstwem i paszeniem bydła, dla pilnowania interesów Skarbu Państwa w powyższych dziedzinach i utrzymywania porządku".

Milicja Leśna stanowi osobny dział „Ochotniczej Milicji Bezpieczeństwa Narodowego" i wchodzi w skład sił zbrojnych Państwa. Służba w Milicji równa się służbie poborowej w wojsku regularnem, personel Milicji nie podlega mobilizacji — poza lotnictwem.

Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy są funkcjonarjuszami policji sądowej i mają za zadanie czuwać nad przestrzeganiem ustaw. Pozatem podoficerowie i szeregowcy są strażą bezpieczeństwa. W czasie pokojowym Milicja Leśna pełni obowiązki policji wojskowej, a w razie mobilizacji może mieć powierzone czynności straży wojskowej i granicznej. Do utrzymywania porządku w kraju oddziały Milicji Leśnej mogą być powoływane tylko w ostateczności.

Milicja Leśna pod względem technicznym i administracyjnym podlega Ministerstwu Rolnictwa i Lasów.

W organizacji wewnętrznej przyjęto podział staro-rzymski.

Na czele Milicji Leśnej stoi komendant główny („Comandante la Milizia Forestale"), którym w chwili obecnej jest młody i energiczny generał D r. A u g u s t A g o s t i n i.

Komendant Główny jest zwierzchnikiem legjonów i szkół leśnych i odpowiada za swe czynności przed Ministrem Rolnictwa i Lasów. Komendant Główny daje wszelką inicjatywę, odpowiada za organizację, dyscyplinę personelu, występuje z wnioskami o przeniesienia i awansowanie oficerów i jest ich zwierzchnikiem dyscyplinarnym, mając w tym względzie uprawnienia dowódcy Korpusu, wreszcie przenosi podoficerów i żołnierzy.

Dowódcami Okręgów inspekcyjnych są Konsulowie Generalni. Jeden z nich jest zastępcą Komendanta. Dowódcy spełniają czynności inspekcyjne w swych Okręgach.

Służbę zewnętrzną pełnią legjony. Dowódcami ich są konsulowie („console" pułkownik lub ppułkownik). Mają oni swoje sztaby. Dowódcy ci nie posiadają uprawnień technicznych, czuwają jedynie nad sprawnem wykonywaniem służby. Legjon dzieli się na 2 — 4 kohorty („coorte").

Kohorty czuwają nad wykonywaniem obowiązujących ustaw i same spełniają powierzone im przez Ministerstwo Rolnictwa i Lasów za pośrednictwem Komendy Głównej czynności techniczne. Na czele kohorty stoi „primo seniore" lub „seniore" (major, kapitan). Posiada on swój sztab.

Kohorta dzieli się na 2—4 „centurje". Na czele centurji stoi „centurione" (porucznik). Centurja dzieli się na 2 — 4 „manipoli", kierowanie przez „capo manipolo" (pporucznik); „manipolo" może być zarządzany wspólnie z „centurją".

Zarówno centurje, jak i manipoli pełnią służbę w terenie i wykonują czynności techniczne.

„Manipolo" składa się z 2 — 5 kompanij, które ze swej strony składają się z 1 lub kilku plutonów, lub oddziałów. Jednostki te są organami wykonawczemi. Na czele ich stoją podoficerowie, no-

*) Patrz artykuł „Lasy i leśnictwo we Włoszech" w majowym zeszycie „Ech Leśnych".



Rocznik szkoły dla szeregowców Milicji Leśnej w Cittaducale Il Bosco

szący nazwy: „maresciallo maggiore" (chorąży), „maresciallo capo" (sierżant lub wachmistrz sztabowy), „maresciallo" (sierżant lub wachmistrz), „brigadiere" (plutonowy), „vice-brigadiere" (kapral), „milite scelto" (starszy żołnierz), „milite" (szeregowiec), „allievo" (uczeń, kandydat).

W sztabach i biurach pracują wydelegowani oficerowie, oraz podoficerowie.

Ilościowo Milicja Leśna rozwijać się miała stopniowo tak, aby w r. 1933 dojść do 368 oficerów oraz 5000 podoficerów i żołnierzy.

Według zmienionego w r. 1931 projektu ilość ta została zredukowana i na 1 stycznia r. b. Milicja liczyła 349 oficerów, 439 podoficerów i 2870 żołnierzy. Do tego doliczyć należy 69 leśników, przejętych z dawnej administracji cywilnej, 139 niższych urzędników cywilnych, 1049 gajowych i polowych gminnych i pomocniczą straż sezonową przeciwpożarową i łowiecką.

Przy powyższej ilości pracowników Milicja Leśna przeciążona jest pracą, na jeden bowiem posterunek, składający się z 2 żołnierzy, przypada przeciętnie 3000 ha lasu i 1000 ha terenu nie leśnego, lecz podlegającego ochronie, razem zatem 4000 ha. rozrzuconych na obszarze 17000 ha.

Ażeby ten stan rzeczy poprawić, wprowadzana jest stopniowo służba konna. Do roku bieżącego już 640 funkcjonarjuszów zaopatrzonych zostało w konie, pozatem wprowadza się na większą skalę w użycie rowery.

Dla dopełnienia szkicu organizacyjnego dodam, że Komenda



Il. Bosco

Budynek główny szkoły dla podoficerów Milicji Leśnej w Vallombrosa

Główna dzieli się na 5 wydziałów, a mianowicie: 1) osobowo-szkolny, 2) prawny, 3) urządzeń wodnych i leśnych, pastwisk górskich, pomocy dla własności prywatnej i gminnej, oraz propagandy, 4) spółek zalesieniowych, 5) finansowy — oraz na 2 Urzędy: 1) statystyki, katastru, produkcji, przemysłu i handlu drzewnego, oraz użytków ubocznych; 2) mobilizacyjny.

Dla kształcenia oficerów, podoficerów i szeregowców Milicji istnieją 3 szkoły: 1) Wyższa szkoła we Florencji dla oficerów. W szkole tej specjalizują się w leśnictwie oficerowie, posiadający dyplomy inżynierów lub agronomów; 2) szkoła dla kandydatów na podoficerów w Vallombrosa i 3) szkoła dla kandydatów na żołnierzy w Cittaducale.

Służba zewnętrzna tworzy obecnie: 8 legjonów, 1 kohortę autonomiczną (dla Sardynji), które dzielą się na 75 kohort i centuryj oraz 48 urzędów samodzielnych. Dowództwom tym podlega 2026 oddziałów i posterunków, rozproszonych na terenie całego Państwa (bez kolonij).

Na utrzymanie tak rozległego aparatu składają się: Państwo, administracja lasów państwowych i gminy.

Przyjrzyjmy się teraz bliżej zadaniom Milicji i osiąganym przez nią wynikom.

Zadania te są bardzo rozległe, obejmujące całokształt gospodarki leśnej i górskiej, i dadzą się streścić w następujący sposób:



L'Alpe

Uczniowie szkoły dla szeregowców Milicji Leśnej na zajęciach praktycznych

stwierdzanie wykroczeń przeciw ustawom i rozporządzeniom w dziedzinie leśnictwa, rybołóstwa, łowiectwa i paszenia; zapobieganie wykroczeniom przeciw własności; wyszukiwanie i ustalanie winnych, aresztowanie i spisywanie protokułów, tępienie przemytnictwa; udział w technicznych pracach wodno-leśnych i w zalesieniach; nadzór i prowadzenie szkółek; nadzór nad użytkowaniem lasu; szacowanie szkód, wyrządzanych przez nielegalne wyręby i paszenie; wyznaczanie cięć; ekspertyzy; szacowanie lasów i wyrębów; walka z pożarami, owadami, grzybami, wylewami rzek i wiatrami.

Do licznych tych czynności zasadniczych dochodzą zajęcia dodatkowe, jako to: służba bezpieczeństwa, policja wojskowa, pomoc na żądanie władz, oraz różne czynności na wypadek mobilizacji, więc służba policyjno-wojskowa, ochrona granic, linij kolejowych, telegraficznych, telefonicznych i t. p.

O wynikach, osiąganych przez Milicję Leśną, świadczą wykonane dotychczas przez nią prace. Cyfrowo ujęte są one w sprawozdaniach z działalności. Z ostatniego sprawozdania za r. 1930/31, wydanego przed kilku tygodniami, przytoczę poniżej szereg liczb.

Jednym z największych kłopotów władz leśnych we Włoszch jest „vincolo forestale" — uznawanie lasów za ochronne. Lasy takie — jak wszędzie zresztą — podlegają specjalnym ograniczeniom. Wobec zaniedbania poprzednich rządów przypadł w udziale obecnemu rządowi trudny obowiązek sprawdzenia wszystkich dawnych zarządzeń, uznających poszczególne lasy za ochronne, oraz zbadanie, czy nie należy z tych czy innych względów poddać ochronie lasów, dotychczas od niej wolnych. Praca ta wykonana została dotychczas na obszarze 3.254.000 ha. W ciągu ostatniego roku sprawozdawczego (1930/31), wpłynęło do Milicji 4.100 spraw z tego zakresu, w tem $\frac{3}{4}$ o pozwolenia wyrębów w lasach ochronnych.



L'Alpe
Oficerowie Milicji Leśnej składają w Rzymie hołd Nieznanemu Żołnierzowi



L'Alpe
Stado owiec przyłapane w lesie przez Milicję Leśną



Zabudowanie potoku górskiego Rio Scuro L'Alpe

Lasy nieochronne również podlegają nadzorowi: pozwoleń na wyręby w nich udziela „Prowincjonana Rada Gospodarcza", a w razie stwierdzenia nadużyć interwenjuje Milicja.

Ilość nieprawnych wyrębów zmniejszyła się o połowę, do 4.092 ha w 195 wypadkach.

W sprawach zmiany rodzaju użytkowania wpłynęło w ostatnim roku podań o 3.867 ha, Milicja wypowiedziała się przychylnie co do 2.739 ha, jednak Rady Gospodarcze zmniejszyły tę powierzchnię do 2.354 ha.

W sprawach wykroczeń spisała Milicja w ostatnim roku niespełna 42.000 protokułów (wobec 48.000 w r. 1928); z tego „Urzędy Pojednawcze" załatwiły polubownie 27.500 spraw, odciążając poważnie sądy.

Na wzór katastru rolniczego tworzy Milicja kataster leśny, łącząc go z opisem lasów.

Lasy gminne stanowią około 20.000 jednostek i zajmują około ⅓ ogólnej powierzchni lasów i pastwisk. Milicja Leśna poświęca im wiele uwagi: podnosi ich poziom gospodarczy, udziela zezwoleń na wyręby, sporządza plany meljoracyj, łącząc z ich wykonaniem zezwolenia na wyrąb lasu, sporządza projekty organizacji gospodarstwa gminnego, plany gospodarczo-leśne, projekty cięć, regulaminy zbiorowego użytkowania płodów leśnych, nadzoruje wykonanie cięć, szacuje wartość użytków leśnych i t. p.

Lasy państwowe, obejmujące zaledwie 225.922 ha (+ 5.000 ha ostatnio nabytych i zalesianych), wyodrębnione są w osobny zarząd „Azienda Foreste Demaniali". Stanowią one 41 jednostek (nadleśnictw), do których dochodzą: biuro urządzania lasów, zarząd parku narodowego „Gran Paradiso" i zarząd lasów państwowo-gminnych w prowincji Catanzaro. Jako cel postawiła sobie Milicja: zachować, ulepszać i powiększać własność państwową, stworzyć rezerwę leśną dla potrzeb Państwa, dawać przykład racjonalnej gospodarki administracyjnej i technicznej. W ostatnim roku zwrócono szczególną uwagę na dostawy rządowe, szczególnie dla kolei i wojska, zbudowano tartak państwowy i zawarto szereg poważnych umów na dostawę różnych materjałów.

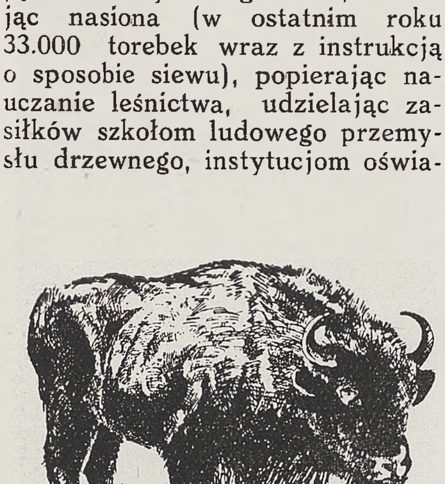
Dochód czysty z lasów państwowych jest niewielki, znaczną bowiem część dochodu brutto pochłaniają wydatki na budowle, drogi, zalesienia nieużytków, szkółki, podnoszenie gospodarstwa łowieckiego i rybnego.

Jednem z ważniejszych zadań Milicji jest podnoszenie produkcji leśnej. Stan obecny jest niepomyślny: mały zapas drewna, wielka przewaga spożycia nad produkcją, obfitość terenów górskich, łatwych do uruchomienia, obfitość nieuregulowanych rzek i t. p.

We Włoszech przyjęta jest zasada, że obowiązek meljoracji i nowych zalesień należy do właściciela gruntu — Państwo jedynie go popiera i dopomaga mu. Dopiero w razie poważnych zadań, o znaczeniu ogólnem, przekraczającem obowiązek jednostki, Państwo wykonuje prace na własną rękę lub do spółki z zainteresowanymi. Spółek zalesieniowych istnieje w tej chwili 66. Tworzą je Państwo i Prowincje (zrzadka gminy), udział w nich Ministerstwa Rolnictwa i Lasów wynosi 50%. Spółki te zalesiły w ubiegłym roku 1755 ha, pozatem Milicja opracowała 60 nowych projektów, obejmujących 6.150 ha nowych zalesień i 2280 ha odnowień w lasach zdewastowanych.

Zabudowanie górskich potoków, częściowo połączone z zalesianiem, wykonuje Milicja Leśna niemal wyłącznie we własnym zarządzie. Na robotę te wydała Milicja w ubiegłym roku 17 miljonów lir, wykonując pracę zasadnicze na powierzchni 3574 ha bardzo ciężkich terenów, i dokonując poprawek i nowych zalesień na drugich 3.571 ha. W tymże roku opracowano 52 nowe projekty, obejmujące zgórą 25.000 ha i kosztorys 64 miljonów lir.

Dla uzupełnienia obrazu dodam, że przy wszelkiego rodzaju meljoracjach udziela Milicja Leśna pomocy technicznej, przeprowadza zwolnienia od podatków na 15 — 40 lat, dostarcza po cenach ulgowych nasion i sadzonek, udziela w lasach ochronnych pomocy pieniężnej na odnowienia do wysokości ⅔ kosztów, opracowuje projekty zalesień dobrowolnych, przeprowadza ich lustrację. Prowadzi szkółki, własne wyłuszczarnie, zbiera nasiona, dochodząc w tym kirunku do samowystarczalności. Zajmuje się meljoracją pastwisk. Bierze żywy udział w pracach propagandowych Narodowego Komitetu Leśnego, ogłaszając konkursy z nagrodami, rozdając nasiona (w ostatnim roku 33.000 torebek wraz z instrukcją o sposobie siewu), popierając nauczanie leśnictwa, udzielając zasiłków szkołom ludowego przemysłu drzewnego, instytucjom oświatowym i doświadczalnym. Organizuje wystawy leśne. Członkowie Milicji biorą często i licznie udział w wewnętrznych i międzynarodowych kongresach.



Niżej podpisany miał możność stwierdzenia na jednym z takich kongresów, że żadna delegacja nie pracowała tak intensywnie, jak włoska, i że poszczególni jej członkowie korzystali z każdej chwili i każdej sposobności, aby zebrać jak najwięcej informacyj.

„Zapał tworzy cuda" — śmiało powiedzieć można, patrząc na wysiłki leśników włoskich. Zapał Milicji udzielił się społeczeństwu, które darzy swoją „MF" pełnem zaufaniem.

Rozpisałem się celowo tak obszernie o mało naogół znanych u nas stosunkach leśnych we Włoszech, uważny bowiem czytelnik z pewnością robić będzie liczne porównania z naszemi stosunkami i z tych porównań wyciągnie niejeden wniosek, aktualny i dla nas samych.

Jan Kloska

KOMUNIKAT

V-go *Ogólnego Zjazdu Leśników Polskich.*

Ogółowi Leśników Polskich donosimy niniejszem, że Komitet Wykonawczy postanowił z wielkim żalem na posiedzeniu w dn. 23.IV 1932 odłożyć zwołanie V-go Ogólnego Zjazdu Leśników Polskich na czas nieograniczony, a Rada Naczelna Polskiego Towarzystwa Leśnego, upoważniona przez IV-ty Ogólny Zjazd do zwołania następnego zjazdu, przyjęła powyższą uchwałę w dn. 25.IV 1932 r. do zatwierdzającej wiadomości i rozwiązała Komitet Organizacyjny i Komitet Wykonawczy V-go Ogólnego Zjazdu Leśników Polskich.

Na krok powyższy niestety musieliśmy się zdecydować z powodu tego, że na skutek naszej odezwy, ogłoszonej we wszystkich niemal czasopismach fachowych i rozesłaniu około 6000 kartek zgłoszeniowych, otrzymaliśmy tylko 240 zgłoszeń na zjazd, a mianowicie: 117 z Małopolski, z województw centralnych i wschodnich, oraz 16 z województw zachodnich.

Ciężki ogólny kryzys gospodarczy winić niezawodnie trzeba za to, że tak mała ilość leśników zgłosiła swój udział w zamierzonym zjeździe. Z wdzięcznością podnieść musimy, że 20, czyli niemal 9% uczestników zgłosiło po jednym lub kilka referatów na tematy bardzo aktualne.

Lwów, dn 26 kwietnia 1932 r.

Komitet Wykonawczy V-go Ogólnego Zjazdu Leśników Polskich

Prezes: *Inż. A. Kozikowski*
prof. politechniki

Sekretarz: *Inż. T. Kolasiński*
st. asystent Politechniki

Z ŻYCIA LEŚNIKA AKADEMIKA

STRUKTURA ŻYCIA AKADEMICKIEGO

Życie Rzeczypospolitej Akademickiej od chwili odzyskania Niepodległości Polski wykazuje dużą żywotność i rozwój.

W roku 1921 powstaje potężny Związek Narodowy Polskiej Młodzieży Akademickiej, którego budowę oparto na pięciu typach stowarzyszeń akademickich; są niemi: Bratnie Pomoce, Koła Naukowe, Koła Prowincjonalne, Korporacje i Związki Sportowe. Zadaniem Bratnich Pomocy i kół Naukowych jest ułatwienie studjów młodzieży przez niesienie pomocy materjalnej i naukowej, celem Kół Prowincjonalnych jest szerzenie kultury narodowej na prowincjach, szczególniej na rubieżach Polski, Korporacje są szkołą wychowania społecznego i obywatelskiego, a Związki Sportowe zabiegają o zdrowie fizyczne Narodu. Wszystkie te najdrobniejsze komórki życia akademickiego łączą się w Centrale środowiskowe, a następnie w Ogólnopolskie związki, których kierownicy tworzą naczelne władze i reprezentację młodzieży akademickiej — Naczelny Komitet Akademicki.

Pozatem Koła Naukowe jednoczą się w wydziały o jednakowych specjalnościach np. Związek Kół Leśników (Warszawy, Lwowa, Poznania) i t. p., które pracują nad zagadnieniami dotyczącemi wykonywania przyszłego zawodu.

Jak wynika z powyższego rozliczna ilość form organizacyjnych, na terenie akademickim, została ściśle powiązana, sharmonizowana w jednolita zwartą całość i podporządkowana jednej władzy.

Warto również wspomnieć, iż oprócz wyżej wymienionych istnieją również na terenie akadem. organizacje ideowo-wychowawcze, niektóre żywiołowo się rozwijające i charytatywne cieszące się w ostatnich czasach dużem zainteresowaniem.

Związek Narodowy Polskiej Młodzieży Akademickiej wchodzi w skład Międzynarodowej Konfederacji Studentów (C. I. E.). Olbrzymim sukcesem polskiej młodzieży akademickiej jest fakt utrzymania stałego miejsca w prezydjum C. I. E. od chwili powstania tej organizacji. Ostatnio Prezesem C. I. E. jest Polak p. J. Pożaryski.

Udział Polski w Międzynarodowej Konf. Studentów posiada duże znaczenie propagandowe oraz cele praktyczne.

Umiejętność racjonalnego zorganizowania terenu akademickiego świadczy o tem, iż młodzież akademicka zdaje sobie sprawę z oczekującego ją zadania i pragnie się do niego należycie przygotować pod względem wyrobienia społecznego i wszechstronnego poznania swego zawodu.

Jest to obowiązek młodego pokolenia i jego niezłomna wola, aby Niepodległa Polska wkrótce osiągnęła mocarstwowe stanowisko w świecie.

Żywotność młodzieży akademickiej daje gwarancje, iż nie zabraknie jej sił na zrealizowanie tych postulatów jakie stoją na drodze historycznego rozwoju Polskiego Narodu.

J. Paprocki

KOŁO LEŚNIKÓW STUDENTÓW SZKOŁY GŁÓWNEJ GOSPODARSTWA WIEJSKIEGO W WARSZAWIE.

Koło Leśników St. S. G. G. W. w Warszawie powstało w 1919 r. w celu niesienia studjującym Kol. Leśnikom pomocy naukowej, dokształcającej, towarzyskiej, oraz celem reprezentowania Stud. Wydziału Leśnego.

Koło Leśników od czasu powstania swego jest w ciągłej walce z trudnościami. I choć całkowite zwycięstwo należy do przyszłości, to jednak rok rocznie, w walce tej Koło przybiera coraz bardziej żywotne formy organizacyjne, stwarzając możliwe źródła swych podstaw finansowych, bądź przystosowując swój rozmach jedynie do składek członkowskich.

Kierownictwo działalności Koła, liczącego 400 członków, sprawuje Zarząd Koła, składający się z Prezesa, vice Prezesa, Sekretarza, Skarbnika, 2-ch Protokulentów i 4-ch Przewodniczących odpowiednich sekcyj. Zgodnie z charakterem działalności Koła, powołane są w celach wykonawczych sekcje: 1) Naukowa, 2) Wydawnicza, 3) Towarzysko-Gospodarcza i 4) Łowiecka. Dla łatwiejszego zapoznania się z Kołem L., oraz jego działalnością, przystąpię do omówienia poszczególnych sekcji.

SEKCJA NAUKOWA.

Przeważającą działalność naukową na terenie Koła L. rozwija Sekcja Naukowa o składzie osobowym: — Przewodniczący, Sekretarz, Referat praktyk, Bibljotekarze i Pracownicy Muzeum. S. N posiada działy: 1) Bibljotekę Koła, 2) Referat prakyk, 3) Muzeum Koła.

Bibljoteka Koła ma na celu dostarczanie studjującym Leśnikom dostatecznej ilości dzieł naukowych, oraz książek popularnych z dziedziny zawodu Leśnika. Obecny stan Bibljoteki wynosi blisko 1000 książek. W porównaniu ze stanem lat ubiegłych, liczba książek znacznie wzrosła, ale jest zamała w stosunku do zapotrzebowania ze strony studjujących Kolegów.

Panowie Profesorowie i Asystenci naszej uczelni idąc z pomocą, zasilają bibljotekę swemi pracami, znaczną część książek kupuje Koło. Pomimo tego są znaczne braki bibljoteczne i studjujący leśnik zmuszony jest nieraz czekać na pożądaną lekturę parę tygodni, a co gorsze może jej nawet nie znaleźć. W preliminarzu budżetowym Koła L. w roku bież., na cele bibljoteczne przeznaczona jest suma 400 zł.; jest to suma znaczna, jak na fundusze Koła, ale bardzo drobna, w stosunku do potrzeb bibljotecznych.

Rozumiemy doskonale czem jest dla nas młodych leśników własna Bibljoteka i jakie nam daje usługi — robimy co możemy.

Referat praktyk.

Zgodnie z pragnieniem studjujących leśników, Sekcja Naukowa usilnie zdąża, aby młody leśnik po całorocznych teoretycznych studjach, — czas 3-ch miesięcznych wakacji zużył na bezpośrednie obcowanie z lasem, na praktyczne zapoznanie się z jego zagospodarowaniem i administracją. Zdąża, aby młody leśnik studjujący umiłowany przedmiot mógł nań zbliska spojrzeć i zaznajomić się. Sekcja Naukowa od takiego szczęśliwca wymaga złożenia sprawozdania z 3-ch miesięcznej praktyki z uwzględnieniem samodzielnych wniosków, oraz wymaga dostarczenia zbiorów przedstawiających wartość Muzealną. Pożytek 3-ch miesięcznych wakacyjnych praktyk dla młodych studjujących leśników, jak i dla samego zawodu jest aż nadto jasny, abym miał go szczegółowo uzasadniać, a jednak tych praktyk brak. Jeżeli chodzi o lasy prywatne, to brak ich zupełnie.

W Lasach Państwowych, których władze troskliwiej odnoszą się do lasu, jako bogactwa narodowego — w pewnej mierze 3-ch miesięcznych wakacyjnych praktyk udzielano, ale tylko w pewnej mierze zupełnie niedostatecznej.

Zdawaćby się mogło, że z rozwojem państwowości polskiej, z rozwojem nauk leśnych i z rozwojem ogólnego zrozumienia potrzeb lasu i młody studjujący Leśnik polski trafiać będzie na coraz bardziej przychylny i podatny grunt dla swego rozwoju.

Jest trochę inaczej!

Jeżeli chodzi o praktyki, to od roku 1926 Lasy Państwowe, coraz mniej udzielają praktyk. A od roku w udzielaniu skąpej ilości praktyk przez Koła Naukowe leśne wytworzył się taki chaos, że nawet i tej małej ilości praktyk studjujący młodzi leśnicy nie mogli wykorzystać w całości.

I w tym wypadku rozumiemy doskonale czem są dla nas praktyki wakacyjne. Rok rocznie staramy się, aby zwiększyć ich ilość w lasach prywatnych, a szczególnie w Państwowych. W staraniach swoich dążymy, aby praktyki otrzymały Koła Leśne Naukowe w terminach przedwakacyjnych, abyśmy mogli je wykorzystać.

Są to nasze pragnienia, wypływające z poczucia naszego dobra. Czy starania nasze i wysiłki są niedostateczne, abyśmy byli zrozumieni?

Muzeum Koła L.

Muzeum Koła pozostające w bezpośredniej opiece Sekcji Naukowej, składa się ze zbiorów: 1) Botanicznego, 2) Ornitologicznego, 3) Entomologicznego, 4) z Nasiennictwa, 5) z Użytkowania i 6) Fitopatologicznego. Powyższe zbiory są dorobkiem z kilkunastu lat, powstałym dzięki zamiłowaniu i ofiarności pracy całego szeregu Kol. Leśników i w dalszym ciągu powiększają się okazami zebranemi w czasie praktyk wakacyjnych i wycieczek. Zbiory powyższe dają nieocenione usługi, czy to Kol. przygotowującym się do egzaminu, czy to przez kształcenie ogółu więcej lub nawet mniej zainteresowanego i wreszcie przez tworzenie zamiłowania do poznawania i zbierania okazów przyrody.

ECHA ŁOWIECKIE

PRZEDŚWIT SEZONU ŁOWIECKIEGO

I.

Ileż nadziei jest związanych z zaraniem sezonu łowieckiego, kiedy to nareszcie po długim poście wyruszyć można na moczary, jeziora i błota, w pogoni za bystrolotnemi bekasami, młodemi kaczkami ba! — opasłemi dubeltami nawet. Coprawda małą atrakcję stanowi strzał do „klapacza" dla urodzonego łowcy, gdyż jest to przeważnie objekt prawdziwie kucharski, natomiast oglądanie, spadającego bekasa, nawet ociężały lot jak na nitce zawieszonego, według tak trafnego określenia Włodzimierza Korsaka, ciągnącego błotnego arystokraty, dubelta, stanowią źródła nietylko przedświtu sezonu, ale rozkoszy najprawdziwszych.

A ileż możliwości oddania strzału do przeróżnych odmian kulików, bataljonów, kulonów wielkich t. zw. ugorowych i t. d.

Uprzywiljowani losem ci co mogą „ze strzelbą na ramieniu" błąkać się po bezkresnych przestrzeniach błot trawiastych, po rokitnikach starego Polesia i żyznych ziemiach Wołynia, ci oczywiście częściej napotykają rzadkie trofea.

I na kulturalnych terenach Kongresówki, Pomorza, Poznańskiego nie brakuje jednak pewnej ilości zarosłych stawków i jeziorek — stanowiących szereg wyśmienitych schronisk dla błotnego ptactwa.

Zaiste, każdy podobny zakątek, posiada w sobie nie mało skrytych, potencjalnych chwil szczęścia dla przyrodnika-myśliwego.

Albowiem każdy żyje i napawa się radością zapożyczoną od zwierzęco-ptasio-rybiego bytowania.

Ileż to owe tajemnicze zagłębia posiadają pierwiastków niezbadanych, swoistych, różniących się tak bardzo od zwykłych cech, banalnych terenów!

Bo doświadczone oko myśliwskie odrazu z jednego rzutu, napewno określi — co? — ile? — gdzie? zające, stadek kuropatw czy rogaczy, zasiedla dane łowisko.

Inaczej mają się rzeczy z labiryntem oczeratów i sitowia — bufiastą trawą porosłych.

W podobnych przesmykach rzeczułek, zatok, strug, w każdej chwili spotkać się można z niespodziewanemi, rzadkiemi nieraz gatunkami.

W tem właśnie tkwi cały urok tych wycieczek z wiernym towarzyszem, poczciwym legawcem.

Nie mówiąc o tem, że darzą one spokojem bajecznym — ma się chwilami wrażenie, że całe pokolenia ludzkie mogą się wzajemnie mordować, mocarstwa i trony w gruzy rozpadać, może się zmieniać konfiguracja świata, a tryb życia, zaszytego w trawach dubelcika, czy kszyka, słodko drzemiącej na kępinach kaczki — jednaki pozostanie.

Pierwiastek ten udziela się zawsze Królowi Przyrody, vulgo człowiekowi — ilekroć zanurkuje w ową atmosferę ciszy i ukojenia.

Niema chyba większej radości jak przedsmak późniejszych poważnych emocyj, kiedy to, o świcie, wyrusza się na te obszary rosą uperlone, rzekłbyć łzami królowej nocy tak bogato ubrylantowane.

II.

Po wstąpieniu na zdradzieckie trzęsawiska (szczególnie, jeśli to się odbywa na Polesiu), miły chłodek ogarnia myśliwca.

Gdy noga w łapeć obuta nastąpi na krzak łoziny, lub zwartą kupę rosnących brzózek, orzeźwiającą falą bucha stamtąd cały zapas ozonu, skoncentrowany bukiet świeżości.

A tymczasem, czerwona kula życiodajnego słońca powoli podnosi się nad horyzontem.

Powoli, ostrożnie piesek zaczyna ściągać do kanału czy strugi łąkowej.

Rozlega się przerażone kwaknięcie starki, podryw struchlałych klapaczy — dwa strzały.

Dwie sztuki młodszego pokolenia już biją spazmatycznie skrzydłami o wodę, na wieki żegnając ten świat bezlitosny nawet dla kaczek.

Przytracza się je do rzemyków krok w krok postępującego poleskiego satyra i — dalej...

Trafiamy na miejsca grząskie, zdradliwe, na których zapada się po pas.

Kaczki coraz częściej poczynają się podnosić z trawy pojedyńczo.

Już się otrzymuje nieco więcej glorji myśliwskiej, niż od poprzedniego mordu niewiniątek — podlotów.

Z zachwytem cmoka Poleszuk, skra tryumfu gra w jego zacnych oczach, przy podjęciu każdej opadłej sztuki, zdumienie niemal od widoku sprawnie aportującego pieska.

— „Nu i rozumnyj sobaka!—daj Boh każdomu czołowiku stylki mudrości". Aż trzęsie się jego nędzna bródka od niekłamanego zdziwienia.

Wkracza się w suchsze ostrówki, „Panoczku, treba szczob tateczka baty piekury" (dubelty, w miejscowej gwarze).

Istotnie — po jednym, po dwa rozpoczyna się podryw majorów (scolopax major — ornitologiczna nazwa dubeltów).

Jakież, niezrównane „delicje" — co za rozkosz sprawiają charakterystyczne furknięcia, poprzedzone głuchem chrapnięciem i zoczeniem białych, rozwartych piórek ogonka-wachlarzyka!

Przecież, ze strzeleckiego punktu zapatrywania, strącić oblanego tłuszczem arystokratę, nawet dla zawodowego pudlarza myśliwego — niema sztuki żadnej!

Ale rzecz dziwna i godna uwagi, szczerej satysfakcji zaznaje strzelec pomimo całej łatwości strzału. Dlaczego?

Zdaje się, że powodem jest ta stosunkowa rzadkość tego miłego ptaszka, tajemniczość jego nadlotów, oraz estetyka całego upierzenia.

Powtóre możliwość częstej, namiętnej roboty dla psa, stanowi zapewniony sposób ułożenia młodego wyżła.

Nie darmo myśliwi dawnego autoramentu zaliczają dubelta do kategoryj całych sztuk, stawiając go na poziomie wypióra, cietrzewia, rogacza, lisa, cyranki i t. d.

Nacieszywszy się do syta widokiem roboty psa, wkracza się, w mokry rejon bekasi.

Tu dopiero jak gruszki dojrzałe padają, chude coprawda jeszcze, o tej porze, śliczne bekasiki.

Literalnie, od ustawicznych ksz! ksz! — co chwila się rozlegających — aż uszy bolą.

Jako rezultat — bełta się przy torbie gajowego cały pęk tych zgrabnych stworzeń.

A słońce tymczasem praży coraz mocniej, coraz niemiłosierniej, zaiste, po lipcowemu.

— „Pora zabastować panoczku".

Wyłazi się więc na suchszy ostrówek, czy grzędę z zeszłorocznym stogiem siana.

W jeden „mig" — Poleszuk rozniecił „ogoniok" — i... już się przysmaża na patykach - rożenkach poleska, jędrna słoninka, wychyla się przytem nie jeden haust kawy, czy innej herbaty z termosu i... tak rozkosznie wyciąga się na aromatycznem sianku.

Oczywiście po odpoczynku — kąpiel w kanale, czy strumieniu z pewną ilością pijawek coprawda, ale to także ma swój urok.

Następnie skromne śniadanko, przyczem piesek także dostaje swoją porcję.

III.

Nie zapominajmy więc nigdy o tych skromnych radościach, o przedświcie sezonu myśliwca.

Dokąd sił i spreżystości nie brak ci Czytelniku miły, dopóki znicz entuzjazmu w duszy twojej goreje, nim doczekamy się spotkań z poważnemi objektami, z pojedynkiem srogim, jeleniem na rykowisku, wilkiem, nedźwiedziem, rysiem, lub też wiosny trubadurem głuszcem królewskim — z okazami, które warte są oka i oblicza Pańskiego — nie gardźmy w oczekiwaniu, skromnem, błotnem polowaniem.

Polujmy w skwarze tych dni letnich, jak pocałunek pięknej kobiety gorących, gorące też dziękczynienia zasyłajmy St-mu Hubertowi.

Albowiem niemasz drobnych chwil szczęścia w szlachetnem umiłowaniu naszem.

Przedświt czy rozkwit w pełni całej namiętności naszego kultu — stanowią zawsze skarb jednaki dla prawdziwej duszy myśliwskiej. *Adam Rzewuski.*



Krzyż w Colosseum rzymskiem. Doroczna uroczystość uczczenia pamięci męczenników chrześcijańskich

GENJUSZ TECHNIKI

Kiedyś, mądrość ludzką reprezentowali filozofowie, mężowie brodaci, poważni i nudni. Wprost nie możemy uwierzyć, że chciało im się przez długie średniowiecze zamęczać głowy tak bezsensownemi zagadnieniami, jak: — „ilu aniołów zmieści się na końcu szpilki?"—lub— „czy kobieta ma wogóle duszę?"... Podobno, podczas jakiegoś tam soboru uzyskała płeć piękna duchową stabilizację na ziemi — przewagą tylko jednego głosu: — „za". O, uśmiechnijcie się panie, i tak zawsze rządziłyście światem.

Tem podobne doktryny nie rozwiązały zresztą ważniejszych spraw na ziemi, morzu i w powietrzu.

— Jak przebyć żywioły wód?... Nad tem pytaniem zastanawiał się już stary, poczciwy Noe kiedy deszcz lał, jak z cebra i zanosiło się na potop wszelkiego stworzenia. Miał ci on trzech synów: Chama, Sema i Jafeta, a każdy z nich był żonaty. Podobno sam Noe nie był wcale słomianym wdowcem. Co tu robić, jak ratować zagrożoną ludzkość? — myślał zmoknięty pod parasolem mędrzec, szczękając zębami z zimna i przerażenia. Żal go ogarniał gdy patrzył na biedne zwierzęta, zupełnie niewinne, że deszcz padał i padał. To ludzie grzeszyli, nie one. To ludziom pisany był potop na ziemi, nie im. Aż zbudował Noe sławną arkę i w ten sposób dostał się do historji, jako pierwszy technik i konstruktor okrętowy, pierwszy inżynier i kapitan morskiej żeglugi, a zarazem dzielny swat wszystkich małżeństw na świecie; istny prezes Towarzystwa Eugenicznego dla ludzi i zwierząt.

Dla króla Salomona, podobnie morskiem natchnieniem, była jego żona, Saba. Jak wiadomo, królowa ta słynęła z wspaniałych skarbów. Kolekcjonowała je przez całe życie. Taka już była nigdy niesyta, a zawsze pragnąca. Znosił jej Salomon pióra, wydarte z ogonów strusich, pachnidła, rybki do akwarjum, gwiazdki z nieba. Ale Saba ciągle mówiła: — „mało!" Kazał jej uszyć mnóstwo kostjumów godowych, płaszczy tronowych i czarujących pyjam nocnych według najświeższej mody egipskiej, prosto z nad Nilu, z pierwszorzędnego magazynu Cheopsa i Menkera. Na nic. Saba wołała: — „jeszcze!" Zachciało jej się złota, koniecznie, aż z Ofiru, z Indji Wschodnich.

— Bój się Boga, Sabciu, jak ja tam zajadę, przecież to kawał świata! — krzyknął zrozpaczony, Salomon.

— Tylko mi nie udawaj głupiego! — odparła, przeciągając się rozkosznie, jak zwinna pantera na widok zagniewanego dozorcy w Zoo. — Ty mnie tym argumentem nie zastraszysz. Muszę mieć złoto z Ofiru i koniec! Od czego jesteś mędrcem, — pomyśl.

— Istotnie, jestem mędrcem od wszystkiego — jęknął Salomon i dodał z westchnieniem: — Co ja jestem temu winien, że tak o mnie mówią?

— Nie wykręcaj się sianem, mój luby. Zbuduj flotę!...

Salomon cofnął się w tył tak nagle, że omal mu korona nie spadła z głowy.

— Ależ, żonusiu, — ryknął — ptaszku szalony, przecież mnie wszyscy Żydzi zakrzyczą, że szafuję izraelickiem mieniem Na co flota, poco okręty? Moi rodacy mają wstręt do wody.

Ale Saba przekonała go rychło: —

— I na to znajdzie się sposób, nie bój się. Postawisz swoim żydom świątynię w Jeruzalem. W całej Palestynie, jak wiesz dobrze, niema jednego porządnego drzewka na budulec. Powiesz więc, że trzeba drzewo sprowadzić na okrętach z Ofiru. He, co?... rozumiesz? Przy tej sposobności będziesz mi mógł przywozić z zagranicy góry złota, nie mówiąc, naturalnie, o innych podarunkach. Prawda, mój Salomonie?.. No, powiedz, że prawda, mój słodki głuptasku.

— Daj tylko prędko buzi, Sabciu — zawołał radośnie król żydowski. — W istocie, masz głowę we właściwem miejscu!

Dzięki tym okolicznościom, Salomon, spełnił rolę dziejową, choć nikt o tem dotąd nie wspomniał, że jego ofirska nawigacja, była właściwie dziełem techniki królowej Saby. Przez nią i dla niej bowiem zapisał swe imię Salomon obok nazwiska Kolumba. Obaj przecież płynęli do tych samych Indji. Nieszczęśliwy Hiszpan jednak gorzej trafił i całkiem przypadkowo odkrył Amerykę. Salomon, co innego! Nie trzeba zapominać, że ten świetny Izraelita miał lepszy nos do interesu. Saba mu zresztą sama pokazała, jak się płynie do Ofiru. I tak wszystko pokręciła w geografji, że później biedny Kolumb doprawdy nie wiedział czy Indje są Ameryką, czy Ameryka jest Indjami.

— W jaki sposób przybliżyć horyzont ziemi, aby czasu nie tracić na długie podróżowanie? — To zagadnienie postawiło w kropce nawet Napoleona. Jego małżonka, płocha Józefina, skąpiła mu listów z Neapolu i Touillerie, co oczywiście wprawiało w niemałą pasję cesarza. Tak samo postępowała z nim

druga jego żona, niecna Habsburżanka. Cóż więc miał uczynić wielki potentat Europy, miotający się w bezsilności?... Nie było jeszcze, ani kolei żelaznej, ani aeroplanów, ani bodaj radja. Stworzył więc, co mógł, — najszybsze stacje pocztowe, usprawniając do szczytu zenitowego, końską lokomocję. A wszystko nato, aby otrzymywać najszybszą drogą korespondencję od swych nieszczęsnych małżonek i cesarskich powinowatych. O wojny nie tak znów chodziło Napoleonowi. Najnowsze badania dokładnie przecież wykazały, że był on zawsze zdecydowanym pacyfistą, a bił się, dlatego tylko, aby się bronić.

Powie ktoś, że technika, ułatwiająca życie w przestrzeni czasu, wymagała przedewszystkiem maszyn i wynalazków. Słusznie. Lecz jakże się powstrzymać przytem od paradoksów. Wszak, proszę państwa, wiek pary i elektryczności stał się dziś dawno przeżytkiem fantystycznych powieści Juljusza Verne'a, a ostatnio prof. Picard dosięgnął nawet stratosfery. Czy godzi się odrazu pisać więc peany na cześć dokonanych zdobyczy ludzkiej kory mózgowej i postawić kropkę, jakby to był koniec i alfa oraz omega wszystkiego.

O, nie, — cóż za megalomanja w obliczu ciągłego postępu naprzód! Mały Jaś, który dziś siedzi cicho i chadza jeszcze w kusych porciętach, niech tylko przeżyje kilkadziesiąt lat, a pewno poleci rakietą na Marsa, ot tak sobie, na wywczasy, na wakacje. A patrząc na świat z góry, czy ten sam Jan, dorosły młodzieniec, nie będzie się zaśmiewał na wspomnienie naszych wyczynów dzisiejszych, bo wydadzą mu się poprostu jakimś niedołężnym raczkowaniem po przestworzach.

Dlatego raczej uśmiechnijmy się do przeszłości, jak kiedyś przyszłość będzie się do nas uśmiechać. Śmiech to zdrowie! — powiedział Konfucjusz.

Wszelkim odkryciom i dziełom ludzkiego genjuszu towarzyszyły wprost nieprawdopodobne anegdoty.

Weźmy za przykład parę z wrzącej wody.

Kiedy w 1619 roku lord Worcester wraz z panią Marion Delorme zwiedzali szpital dla obłąkanych w Bicêtre, zwrócił ich uwagę pewien szaleniec, który przywołał ich rozpaczliwym okrzykiem:

— Nie jestem wcale obłąkany, udało mi się tylko dokonać wielkiego odkrycia! Wzbogaci ono kraj, który je zechce zastosować!

— Cóż to takiego? — zapytała pani Delorme ze współczuciem.

— Ah, nigdyby pani nie zgadła chociaż to rzecz całkiem prosta. Chodzi o użycie pary wrzącej do wprawiania w ruch młynów, wozów i innych przyrządów.

Dama stłumiała uśmiech, dyskretnie koronkową chusteczką.

— Jak się zowie ten nieszczęśliwiec? — zapytała dobrotliwie dozorcy.

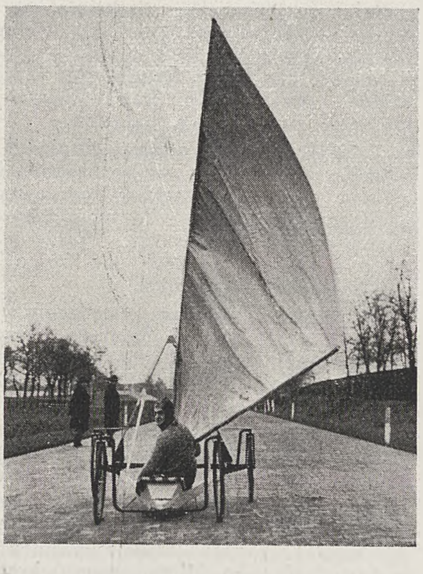
— Salomon de Caus, — odparł cerber zakładu. — Napisał szarlatańską książczynę p. t. „Przyczyny sił, poruszających rozmaite machiny tak użyteczne, jak zabawne". Widać opętał go djabeł, bo łaził z tą niedorzeczną elukubracją po wszystkich pokojach królewskich i wtykał ją ciągle w fioletowe rękawiczki Jego Eminencji Kardynała Richelieu. Nie dziw, że zniecierpliwiony kardynał kazał wreszcie zamknąć szaleńca za kratami Bicêtre.

Ładny mi szaleniec! Odkrycie Salomona de Caus, zastosowane w pełni dwa wieki potem przez Jerzego Stephensona, pozwala wszystkim obecnie na korzystanie z lokomocji kolejowej. Kto o tem pomyśli jednak, jadąc wygodnie rozparty w wagonie!?...

Miał i Stephenson krzyż pański za swój epokowy wynalazek. Kiedy świat cały obiegła wiadomość, że ze Stocktonu do Darlingtonu przetoczył się jego żelazny potwór na kołach, wróżono z tego rychły koniec świata. Było to w latach 1825 — 1830. W samej Anglji powstał wielki rwetes. Wszyscy lordowie w parlamencie drapali sie w peruki. Właściciele dyliżansów pocztowych poprzysięgli Stephensowi walkę na śmierć i życie. Zarzucano mu, że chce spalić całą Anglję od iskier lokomotywy, że zaczadzi powietrze, że ludzkość wyginie, bo krowy przestaną dawać mleko, że konie, te narodowe rumaki, na których jeździ dotąd cały patrjotyzm angielski, — trzeba będzie skazać na zagładę. A był nawet jeden z lordów, który zaaplikował wprost arcymądre pytanie:

— A co będzie, jeśli krowa stanie na torze kolejowym?... Nieszczęście gotowe, któż bowiem zaręczy, że pociąg się na niej nie wykolei?

Z samochodziarstwem nie mniej pociesznie się działo. W XVII wieku żył sobie we Francji pewien potulny opat, któremu nagle zachciało sie uruchomić jakiś przedziwny wehikuł, własnego pomysłu, zapomocą działania wybuchających dawek prochu. Sto lat potem podobną ideę powziął Lebon z tą małą różnicą, że chciał swój motor rozpalać gazem świetlnym, wynalezionym akuratnie wtedy z węgla kamiennego. Dopiero Lenoir w 1860 r. pierwszy puścił w ruch auto własnej konstrukcji, zapalane iskrą elektryczną przez pokręcenie korby. To była właśnie owa rewolucja automobilowa, otwierająca wynalazkowi świat na wylot. Obecnie „Citroeny" zdobywają pustynię Gobi i Saharę. Szkoda tylko, że u nas w Polsce jedno auto przypada na 1.500 mieszkańców. Nie dorośliśmy jeszcze w tym względzie do pięt Amerykanom. Naszemi samochodami są głównie doprawdy nasze poczciwe nogi.



Żagiel na kołach wynaleziony przez inż. Boltona, robiący 50—100 km. na godzinę

Najważniejsze głowy przygotowały dzieło latania w powietrzu. Szlachetny młodzieniaszek, Ikar, przypiął sobie skrzydła i pono wystartował na nich, choć były zlepione woskiem. Ale słońce uwzięło się na śmiałka. W jego promieniach rozlazły się skrzydła, a młodzian stracił życie w odmętach mitologji. Można o nim powiedzieć, że wyszedł na wosku, jak Zabłocki na mydle. Ciężka sprawa, ale do szalonej tajemnicy ptaszęcych lotów wziął się nawet tak poważny mistrz, jakim był Leonardo da Vinci, malarz sławny, nie byle co. I jego podkusiło wynaleźć jakąś tam śrubę powietrzną. Potem, żarliwy mnich Olivier de Malmesbury, dokładny matematyk Dante z Perugji, rozkoszny staruszek sześćdziesięcioletni, markiz de Bacqueville, — każdy z nich przypinał sobie skrzydła do ramion i łamał nogi na swój sposób w historji. Aż wykształcił wreszcie nieco ludzkie skrzydła Otto Liliental (1890—96 r.), na kształt nietoperzy. Odważny ten inżynier latał jednak głową nadół i kiedyś musiało się to źle dla niego skończyć. Podziw nas ogarnia, — jak ten człowiek mógł jednak przed śmiercią dokonać 2.000 udanych lotów na przestrzeni 200—300 metrów!... Żaden z tych amatorskich wyczynów skrzydlatych nie przyniósł, rzecz prosta, tylu frapujących emocyj, co nareszcie wynalezienie śmigła i silnika wybuchowego w motorze szybowym przez braci Wright (1900—1905 r.). Takie to właśnie sukcesy zastał w lotnictwie Ludwik Blerjot, ojciec naszych aeroplanów, hydroplanów, szybowców, płatowców i awjonetek kiedy w 1909 r. sławnie przeleciał przez kanał La Manche. Odtąd zaczęło się łamanie karków. Ale i w tej dziedzinie nastąpiła niebawem poprawa. Dzisiaj przy udoskonaleniu techniki trudno wogóle o śmierć w powietrzu. Zawsze tam się znajdą przynajmniej jakieś spadochrony, gwarantujące w najgorszym wypadku nadzieję dolecenia, jakotako bezpiecznie, na ziemię.

Łodzie podwodne są arcydziełem ostatnich wynalazków, chlubą techniki, cudem urzeczywistnionym z wyobraźni. Nie wynalazł ich bynajmniej kaizer Wilhelm podczas światowej wojny. Mało kto wie, że nad ich koncepcją myślał już Aleksander Macedoński. Pierwsza zaś łódź podwodna, mizernie w postaci dużego orzecha włoskiego zbudowana przez Bushenella, odegrała swą pierwszą rolę historyczną podczas wojny niepodległościowej Stanów Zjednoczonych z Anglją przy oblęganiu Nowego Yorku w 1776 r. Stare to więc dzieje!

Niewątpliwie jednak zblazowany nasz świat współczesny zadziwi się wspominając z przeszłości pewną anegdotę. Kiedy w 1801 r. Fulton przedłożył Napoleonowi projekt zmilitaryzowania swej łodzi podwodnej, cesarz rąbnął mu na piśmie następującą odpowiedź:

— „Poważne powody zmusiły mnie i admirała odmówić Panu, gdyż ten sposób prowadzenia wojny przeciwko wrogowi ma tak brudny charakter, że osoby korzystające z niego, w razie nieudania się przedsięwzięcia, będą powieszone. Zrozumiałe jest, że śmierć na stryczku nie przystoi żołnierzowi".

O, jakże nas zmieniły wynalazki!...

I jakże nas jeszcze zmienią po wojnach gazowych!

Janusz Stępowski

OD LODÓW KU PALMOM



Sięgnijmy w pogoni za latem jeszcze dalej na południe. Już na przeciwległym brzegu Śródziemnego Morza mamy je właśnie teraz w całej pełni — wraz z upałami, nagimi Murzynami, Arabami, rekinami i gorączką niemilknącego ani na chwilę zgiełku statków, idących z północy na południe, ze wschodu na zachód i odwrotnie.

Oto obraz.

Spokojne, jasno-lazurowe morze, powleczone zlekka subtelną pajęczyną snujących się ponad horyzontem promieni wschodzącego słońca. Wspaniały trzypiętrowy parowiec wycieczkowy o dwóch potężnych kominach, niby torpeda wymierzona w ląd Afryki przez cywilizowaną, zamarzniętą w tej chwili Europę, ślizga się po roztoczy wód, opłókujących wybrzeże Port-Saidu, miasta leżącego na granicy trzech części świata.

Zaledwie zarzucił kotwicę, a otacza go już ruchliwe, barwne mrowisko chybotliwych czółenek. Wołają z nich na różne głosy ludzie przewiązani przez biodra kolorową szmatą, zrzadka tylko spowici całkowicie w białe, czerwone, zielone lub pstre suknie, ściągnięte w pasie rodzajem ręcznika, czy szala z frendzlą.

Brunatne, smagłe ciała lśnią w pomarańczowych blaskach wschodzącego słońca, niby olbrzymie rojowisko wyrzuconych na wybrzeże krabów. Kunsztownie związane turbany, jaskrawe fezy, chusty pasiaste i stożkowate mycki kołyszą się na szafirowej przezroczystej fali, jak łan różnobarwnych maków.

Arabowie i Murzyni różnych barw — od jasno-czekoladowej aż do spalonej na węgiel kawy — śmigają, jak pająki wodne, w czółenkach tuż koło statków, czepiają się, niby małpy, spuszczonych na wodę schodni okrętowych, spychają jedni drugich, wpadają w fale, nurkują, wypływają na powierzchnię, obijając się o kadłuby oceanicznych olbrzymów i usiłują przedostać się do wnętrza, gdzie spoczywa snem obojętnym źródło ich pożądań — pieniądze europejskie.

Marynarze szorują pokłady, a strugi zmydlonej, brudnej wody wylewają się odpływowemi lukami, spadając na obnażone, kędzierzawe łby, na brudne turbany, wyłojone fezy, kapelusze słomkowe o spadających, postrzępionych rondach, na korkowe chełmy, świecące już dziurami, na połyskliwe — tłuszczem, potem i kurzem nasiąknięte ramiona, na poplamione, poszarpane w pracy i w bójce spódniczki albo i szale malowane w kwiaty.

Nadbrzeże dudni już zbudzonym ruchem afrykańskiego portu. Przelewisty gruchot mowy ludzkiej, dzwonki tramwajów i janczarki na szyjach zwierząt.

Stanęliśmy na progu Afryki — na progu Czarnego lądu. Z głębi jego — na powitanie nam szemrzą rozgrzane lasy palm, z wierzchołków piramid, niby z olbrzymich anten płyną niemilknące echa przedhistorycznej niemal kultury, z wnętrza dżungli wieje tajemnica życia, którego nie oglądał dotychczas przedsiębiorczy Europejczyk, a której obawia się spojrzeć w oczy zabobonny murzyn. Wdzieramy się w ten świat przez Kanał Sueski. Przejazd trwa zaledwie kilkanaście godzin. I pomyśleć tylko, że gdyby przedsiębiorczość ludzka nie stworzyła tej drogi wodnej — na to, aby dostać się na egzotyczne wody Oceanu Indyjskiego, trzeba byłoby tygodni a nawet miesięcy okrążania całego wybrzeża Afrykańskiego. Prawda, Kanałem Sueskim płyniemy, jak na nasze stosunki komunikacyjne, jeszcze zbyt wolno, bo na przejście stu kilometrów zużywamy prawie dobę. Ale... żegluga ma tu do pokonania nieprzeciętne trudności terenu. Posuwać się bowiem można na przód zaledwie żółwim krokiem, a to ze względu na wąskość kanału, niebezpieczne w nim mielizny i niezwykły ruch statków, przechodzących tędy z Europy na południe Azji. Zdarzało się często tak, że mijające się parowce nieomal ocierały się wzajem o swoje burty, aby nie zawadzić o słupy ostrzegawcze na mieliznach, lub o dragi czerpiące ustawicznie piasek, nawiany w kanał z pustyni arabskiej.



Gaj palmowy koło portu Mombassy (wybrzeże wschodniej Afryki).

Krajobraz wzdłuż kanału jest bardzo ponętny dla oczu Europejczyków. Lasy palm daktylowych i smukłych cyprysów, ciągnące się wzdłuż mniejszych i większych jeziorek, stada pelikanów, gęsi dzikich i kaczek, tabuny pasącego się bydła zebu z garbem na karku — wszystko dziwi i nie pozwala zejść z pokładu. Czarno-białe „wojtki" o czerwonych dziobach i nogach przypominają łąki i strzechy polskie znajdujące się o tysiące kilometrów od Egiptu.

Widok ten wszakże nie trwa długo. Brzegi kanału Sueskiego podnoszą się nieomal do wysokości pokładu drugiej klasy, zieleń i życie znika całkowicie, a zamiast nich przed wzrokim rozlewa się bezbrzeżne pustkowie biało-żółtych piasków pustyni Arabskiej, którą od czasu do czasu tylko zlekka ożywiały ciągnące się sznury wielbłądów. Temperatura podnosi się przytem do 35° C.

W powietrzu coraz duszniej, słońce pali nieznośnie, świadcząc o tem, że statek systematycznie, acz powoli wchodzi w sferę działań klimatycznych Zwrotnika Raka.

Wreszcie z drgającej żarem słonecznym przestrzeni wyłaniają się różowe skały ze śladami nikłej roślinności. Ciągną się już teraz aż do zatoki Sueskiej, którą otoczyły półkolem, strojąc ją znów w pióropusze palm daktylowych.

Statek mija Suez, miasto niczem nie różniące się od Port-Saidu i prawie z normalną szybkością pędzi ku Czerwonemu Morzu.

Spokojne godziny dnia następnego wypełnia całkowicie obserwowanie niebiesko-liljowych gór Afryki, wyrastających niby koronka po prawej stronie Czerwonego Morza oraz bezbrzeży piaszczystych Arabji ze strony lewej.

Temperatura podnosi się szybko. Termometr wskazuje już 40 — 45° C. i tylko korkowe hełmy oraz białe przewiewne ubrania pozwalają znosić ten żar, który odświeża nieco wiatr południowy, zwany momso. Czasem na tem lub owem wybrzeżu słabo rysują się kształty domów, kopuły meczetów oraz minaretowe wieże. Morze mieni się czerwonym kolorem, jakby ktoś po włókł je rubinową łuską. Jest spokojne, apatyczne jakieś i przelewające się bezdźwięcznie.

Tedy Mojżesz przeprowadził lud Izraela. Przeprowadził go suchą stopą przez rozwarte wody Czerwonego morza. Uporczywie zdaje się, że tam na dnie istnieje jakiś gościniec, po którym ongi przeszli Żydzi uciekający z Egiptu przed nieludzkiem bestjalstwem potężnych faraonów.

Po przejściu Czerwonego morza, dopiero na trzeci dzień pod wieczór, odprowadzany tłumem jaskółek statek przesunął się przez cieśninę Bab-el Mandebską i o zmroku przy silnej fali zawinął do portu w Aden na Oceanie Indyjskim. Tu, zwyczajem afrykańskim, ob-

skoczyło nas czarne mrowisko ludzkie. Byli to mieszkańcy kraju Somali, istoty najczarniejsze na kuli ziemskiej.

Noc całą na statku wrzała praca. Ładowano towary idące z Indji Wschodnich do południowej Afryki. Zaledwie zdążyliśmy obejrzeć ponure mury angielskiej fortecy — stromo piętrzące się na miedzianem tle gór, zaledwie zdołaliśmy spostrzec pustynny, wypalony posuchą i słońcem krajobraz, a parowiec ruszył — w Ocean Indyjski, aby po ominięciu niebezpiecznych raf, rozrzuconych naokoło przylądka Gwarda-fui popłynąć już prosto na południe Mombassy.

W zatoce Adenu zmienił się obraz życia fauny. Wyglądało to tak, jakby tu się odbywał wielki doroczny jarmark. Skały obsiadły niezliczone chmary najróżnorodniejszego ptactwa. Tuż za statkiem, jakby usiłując go dogonić pędziły wielkie, czarne rekiny, wokoło uwijały się latające rybki, a nieco dalej od okrętu igrały srebrne delfiny.

Jeszcze jeden dzień podróży i żegnamy się z północną półkulą globu.

Przekraczamy równik. Na statku czynią przygotowania do chrztu równikowego. A chrzest taki musi odbyć każdy, kto pierwszy raz przepływa równik. Oczywiście dziwne te ceremonje, polegają na zanurzeniu nowicjuszów w wodzie, przygotowanej w wielkim, brezentowym basenie na statku. Ten z pasażerów, który nie zechce bliżej zapoznać się z Neptunem, nie ma prawa przekroczyć równika. Lista osób jest ściśle sprawdzana i nikt nie uniknie swojej kolejki.

Jakoż rankiem dnia następnego zaczął się obrząd. Pasażerowie zjawili się na pokładzie w kostjumach kąpielowych i orszak Neptuna wkroczył z wielką pompą, przybrany w godne powłóczyste szaty. Obok boga morza, ubranego w białą togę i opartego na swem godle — trójzębie, stanęła jego świta, składająca się z poprzebieranych w najróżnorodniejsze stroje marynarzy. Astronom za pomocą zaimprowizowanego przyrządu stwierdził, że okręt przechodzi przez równik, zagrały donośnie trąby i ceremonja... przymusowej kąpieli została rozpoczęta.

Jakoś tak się złożyło, że na pierwszy ogień poszła pewna miss angielska — w obawie przed oczekującą ją łaźnią — ubrana w nową liljową w czerwone kwiaty pijamę. Neptun, przyjętym zwyczajem, nadał jej wyznaczone imię Foka, odpowiadające zresztą najzupełniej jej wyglądowi, a dwaj jego pachołkowie podprowadzili delikwentkę do basenu. Miss na widok morskiej wody zamknęła oczy i zatkała sobie palcami uszy oraz dziurki od nosa, aby jej się przypadkowo nie napić. Czekała. Jakież jednak było jej przerażenie, kiedy uczuła zamiast zanurzenia się w basenie, kawałek lodu za kołnierzem. Krzyknęła przeraźliwie — mysz! A uciekając przed nią sama wskoczyła do wody, przekoziołkowała się parę razy i ociekająca wyszła po przeciwległej stronie basenu.

Zerwał się ryk śmiechu, ale stuknięcie trójzeba i surowa mina brodatego Neptuna wnet przywróciły porządek.

Wykonawcy woli Neptuna, obchodzili się wprawdzie z paniami dosyć delikatnie, ale już zgoła bezwzględni byli dla panów, których po namydleniu, ogoleniu olbrzymią brzytwą i rzetelnem wykąpaniu w basenie polewali jeszcze strugami wody z ustawionej w tym celu sikawki.

Dnia następnego o świcie docieramy do portu Mombassy, a zbliżenie się do wybrzeża zapowiadało, że wpływamy do egzotycznej cieplarni.

Szafirowy ocean paruje, a z lądu pokrytego dosłownie lasem drzew kokosowych, oraz ukwieconych ljan dochodzi już odurzająca, słodka woń.

Szczęśliwi są mieszkańcy tego kwitnącego stale lądu.

Czyż szczęśliwi?

Bo czyż nie dlatego Europejczyk — zwłaszcza ten z północy — jest ich w stanie ujarzmić, że nauczył się ujarzmiać nawet tak oporne żywioły, jak lód, mróz i burze oceanów arktycznych?

W tej tropikalnej temperaturze łatwo odmarzłyby nasze bałtyckie trawlery i holowniki, a lodołamacza napewno nikt tu jeszcze nie widział od początku istnienia świata.

Wróćmy zatem do Gdyni, aby go tam znów zobaczyć.

Wik, czyli małe morze zamarza prawie co roku, przynajmniej od brzegu. Tak było też i w roku 1920, kiedy generał Haller dnia 10 lutego musiał w przerębel wrzucić zaślubinowy pierścień Polski z morzem. Czyż mamy na ten stan narzekać? Myślę, że nie, bo można byłoby wykorzystać go dla rozwoju niezwykle pięknego i zdrowego sportu, który rozpowszechniony jest bardzo u brzegów północnych naszych sąsiadów, a zrzadka tylko uprawiany na jeziorach pomorskich.

Myślę tu o jeździe ślizgiem po lodzie przy pomocy żagla i przypominam sobie czasy, kiedy, jako uczeń gimnazjum, w wesołej gromadce kolegów, zaopatrzonych w łyżwy i w rozpięty jak żagiel płaszcz — pędziłem z wiatrem po zamarzniętej skorupie Narwi i Bugu.

Myślę też, że tylko brak inicjatywy powstrzymuje nas jeszcze od wprowadzenia w całej pełni tego sportu na jeziorach lub na Małem Morzu, co w zimie stanowiłoby odpowiednik letniego yachtingu i pozwalałoby naszej młodzieży na nieprzerwane współżycie z przyrodą morza o każdej porze roku.



Piękna Egipcjanka z nad Suezu

Zmaganie się bowiem z morzem w każdej jego formie ma to do siebie, że wyrabia moc charakteru — wytrwałość i tężyznę ducha, czego nam Polakom, bardzo potrzeba — chociażby poto, aby na każdym kroku i nieustannie stawać w obronie odzyskanej ojcowizny, której to właśnie posiadanie morza — w lecie czy w zimie — gwarantuje całkowitą swobodę oddechu, a więc rozwoju i dobrobytu.

Poznawajmy więc obce morza, lecz kochajmy i otaczajmy czujną opieką jeno własne. Jest ono bowiem dla Polski bramą w świat, bez żywego kontaktu z którym żaden naród dziś już żyć nie jest w stanie.

Mieczysław Jarosławski

KRYZYS I WIOSNA

Jeszcze o kryzysie?

Znów oklepane doszukiwanie się przyczyn jego powstania? Albo biadania, że jest źle, tak jak było wczoraj i że do innego jutra daleko?

O nie!

Kryzys przejadł się w słowie, jak teściowa w dowcipie. Zresztą kryzys jest już objawem normalnym, do którego można było przywyknąć.

Nie płacę za mieszkanie, tłumacząc gospodyni, że mi redakcja „Nadziei Jutra" nie wypłaciła honorarjum. Redakcja zapowiada codzień, że może zapłaci mi jutro, o ile przynajmniej część abonentów uiści się z długu. A jednym z tych zalegających wiecznie abonentów jest właśnie moja gospodyni, która jest stale przy nadziei na jutro mej wpłaty, a tem samem zapłaty należności w „Nadziei Jutra".

Jesteśmy więc wszyscy dojutrkami w nastawieniu myślowem, a niedojadkami na dzisiaj.

Lecz naprzekór pesymistom trzeba stwierdzić, że jest to stan zdrowy i że jest wszystko w porządku. Już Napoleon I (a Napoleon I, to autorytet!) powiedział, iż choćby się jadło najmniej, — je się zadużo, ale skądinąd znów, stan trwałej nadziei jest stanem stale błogosławionym.

Bez nadziei żyć nie można.

Czyli — jest dobrze, jak jest; bywało gorzej!

(Mówię to, rzecz prosta, myśląc w duchu, że redakcja w stosunku do mnie zmieni zawsze świeżą zieleń nadziei na „złotą" pewność. Boć bez „tego" żyć nie można!).

— — — — — — — —

Wchodzimy w okres lata.

Zapachniało nam wiosną, wytreliło kantatą słowiczą, wymaiło zielenią, ubarwiło kwieciem. Jest dobrze, radośnie!

I musi być dobrze leśnikowi.

Misterna koronka paproci zamiast georgety czy jakiej crepe satin'y dla żony na letnią toaletę i jagód wszelkich wbród — witaminy są przecież modne.

Zjadą letnicy — złaknieni powietrza, sarny z miejska oswojone, żądne dzikich puszcz i swobody. A w ziemi leśnej już łowią dech zawiązki borowika, maślaka, rydzyka... Słonko grzeje...

Nie, stanowczo, kryzys w lesie i w lecie można wsadzić do jakiejś dziupli i zaklinować na dobre — niech tam tkwi!

Może na jesieni, albo na zimę przypomni o sobie — o ile nie zemrze...

Niechaj mu ziemia ciężka będzie!

Ale teraz — poco o tem myśleć?!

A więc — precz z kryzysem w słowie!

Witaj nam wiosno, witaj lato!

J. Milewski

SCENA i ŻYCIE

TEATR NOWY. *„Miłość pod mikroskopem" — komedja w sześciu obrazach Mikołaja Jewreinowa. Przekład Eugenjusza Świerczewskiego. Reżyserował Ludwik Solski. Dekorował Karol Frycz.*

Walka dojrzałego intellektu z przytłumioną uczucowością—oto tło komedji Jewreinowa. Treść polega na mozolnem przebijaniu się miłości do kobiety przez skorupę naukowego materjalizmu. Chirurg Faure walczy z uświadomioną sobie nagle miłością do swej asystentki Olgi Norman. Walka ta przybiera chwilami formy zgoła nieodpowiadające powadze naukowca, — histeryczne.

Wreszcie profesor załamuje się, miłość zwycięża, zaś sprytny intellekt ze szczebla swej wyższości klepie po ramieniu drugie, — ja profesora, idące na kompromis z życiem. Teza poruszana w literaturze dramatycznej dosyć często; bo już od czasów Fausta Goethego „der uebersinnlich sinnlicher reier"), a jednak nigdy nieprzestająca pociągać komedjopisarzy i fascynować publiczność. Chodzi wiec oto, jak się z jej przeprowadzenia Jewreinow wywiązał. Należy stwierdzić, że autor zdołał banalność tematu ubrać w formę nietylko ciekawą, ale i szczęśliwą, jeżeli chodzi o akcję, oraz wypełnianie nią sceny. Gorzej nieco przedstawia się sprawa rysowania figur. Często wyrażają one tylko to, co autor sam ma na myśli, choć w istocie tem nie żyją. Jest to zresztą ogólna wada nieomal wszystkich sztuk rosyjskich. Więcej w nich zasadniczości („principów"), niż samego życia. Usterki te w znacznej jednak mierze łagodzi doskonałe poczucie efektów scenicznych, mocne djalogi i barwność akcji, którą Jewreinów nawarstwia z niepospolitem mistrzostwem, trzymając uwagę widza na uwięzi. Nie ustrzegł się też autor od przewlekłości, właściwej twórczości rosyjskiej, skutkiem czego najniepotrzebniej, bo bez pogłębienia akcji wprowadził obraz czwarty, usiłujący podmalować mieszczańsko - klerykalne tło dla uwypuklenia volterjanizmu swych bohaterów, oraz cukierkowaty happy-end (obraz szósty). Wystarczyłoby najzupełniej podkreślenie końca obrazu piątego, (załamanie się intellektu profesora przy niespodziewanem, mocnem zetknięciu się z życiem) — o co przecież jedynie autorowi w tej sztuce chodziło. W sztuce — nie w komedji, jak zapowiada afisz.

Tak zwane życie otoczenia w sztukach Jeewreinowa cierpi zwykle na hypertrofję, zaś siła przekonywujących argumentów nie przestaje w sobie nosić trującego zarodka przebrzmiałej dostojewszczyzny. Stąd sztuki te nużą przeciętnego, uczuciowo predysponowanego, widza, intellektualistę — zarzucają chaosem osłabiających wrażenie komunałów.

Brydziński w roli profesora „za wiele dał głosu" i za mało siły; partnerka jego, Gromnicka — Olga (zresztą z winy autora), nie była dostatecznie wyraźna — nie wiadomo, czy kochała, czy tylko umiejętnie robiła karjerę. Mimo to gra tych dwojga doskonałych artystów często podnosiła napięcie i wywoływała tak niezbędny dla widza dreszczyk oczekiwania. Na wyróżnienie zasługuje również p. Lubieńska — przeczulona, histerycznie podniecona i w każdym calu kontrastowa w stosunku do pary intellektualistów.

P. Socha — szczery i mocny w akcentach. dał przypuszczalny ideał typu męskiego autora. Reszta osób grała poprawnie. Jewreinow nie wysilił się na wyrazistą koncepcję ich charakterów.

Przekład Świerczewskiego doskonały. Autorowi więc chyba należy się nieco uwag natury fachowej, mianowicie dotyczących nieomal wszystkiego, co działo się na scenie z zakresu medycyny. Tak, np., tragicznie wyglądało owe dwuminutowe „dezynfekowanie" narzędzi chirurgicznych przed operacją, owe nakładanie opatrunków, czy zdejmowanie ich, owe rady lekarskie, udzielane telefonicznie przez profesora, a nawet korekta jego pracy naukowej.

Jeżeli nawet autor zaniedbał prawdę, dla efektów, to jednak powinien był się liczyć z tem, że teatry odwiedzają również i lekarze — może nie z mikroskopem, badającym powikłaną psychologję uczonego chirurga, w każdym jednak razie z niezbędną dozą wiadomości fachowych.





„Miłość pod mikroskopem", sztuka M. Jewreinowa w teatrze Nowym. Na zdjęciach: Gromnicka, Brydziński, Ziejewski i Lubieńska.

TEATR ATENEUM.

„Mam lat 26" — sztuka w trzech aktach Istvana Mihaly.

—o—

Bezrobocie...

Tragedja bezrobotnych. Sztuka już nietylko aktualna, ale wołająca na alarm. Może zbyt mocno pozująca na oryginalność faktury scenicznej, może miejscami grzesząca sztucznością efektu, ale ściśle związana z tragizmem chwili obecnej. I dlatego właśnie godna obejrzenia i zastanowienia się — tembardziej, że nie grozi, nie prowokuje do wybuchu, lecz budzi szlachetne uczucia ludzkie.

Młodzieniec, mający dwadzieścia sześć lat, traci pracę. Traci jednocześnie pracę i jego ukochana narzeczona. Miłość szarpie się, cnota ulega napaściom, obowiązek moralny wyje z bólu bezsilności. Wyjście — samobójstwo. Tak miałaby się skończyć sztuka, gdyby właśnie nie ów autorski odruch zagrania przy sposobności atutem oryginalnym. I sztuka sama staje się już tylko tłem do kunsztownego fortelu formy — traci na sile tragizmu. Koszmar bezrobocia jest przecie sam przez się wystarczająco mocny. — Czyż trzeba więc dla ukazania jego tragizmu szukać na scenie efektów innych jeszcze, niż te, których w obfitości dostarcza samo życie? Czyż trzeba deklamacyjnych komentarzy konferansjera i reżysera, usiłujących w formie feljetonu z dziesięciogroszówki pokazać widzowi więcej ponad to, niż pokazuje akcja sceniczna? Autor przeliczył się i zaszkodził bezpośredniości wrażenia.

Wystawiono sztukę poprawnie — zarówno pod względem reżyserskim, jak dekoracyjnym. P. Daniłowicz dał mocną sylwetkę szlachetnego inteligenta, którego życie wyrzuca poza nawias. Obok niego na pierwszy plan wybija się doskonała w typie nowoczesnej panny p. Daszyńska. Reszta zespołu w osobach pp. Buczyńskiej, Poredy, Zarębińskiej, Daniłłowiczówny, Lechowskiej, Pągowskiego, Chmielewskiego i Łuszczewskiego — wywiązała się bez zarzutu ze swych ról.

TEATR „MORSKIE OKO" — rewja *„Listek Figowy"*.

—o—

Przyzwyczailiśmy się do tego, że tytuł rewji zapowiada więcej, niż daje bieg jej scenarjusza. Odwrotny stosunek jest dla nas niespodzianką. Taką właśnie niespodzianką jest rewja w teatrze „Morskie Oko". Gdyby tytuł był zapowiedział „Przeboje sezonu", gdyby zapowiedział „Lawinę śmiechu", lub „Huragan oklasków" — byłby bliższy rzeczywistości. Mamy tu bowiem istotnie i najprzedniejsze przeboje wokalne i lawinę śmiechu, wywołanego rozrzutnością humoru, a co za tem idzie i niemilknące okłaski. Wystarczy powiedzieć: rewja pod znakiem Toli Mankiewiczówny, Igo Syma i Gruszczyńskiego. Rozległa skala talentu Mankiewiczówny czaruje w operze, operetce i rewjowej piosence jednakową finezją gry i prawdziwem pięknem głosu. Igo Sym — wytworny, pieszczotliwy, przezabawny. Szczęściem, dzięki trickowi rozdawania swych podobizn, uniknął wybuchającego już ataku pań na jego uwodzicielską urodę. W pewnej mierze piorunochronem był jeszcze Żabczyński, mający ustaloną opinję ujmującego piosenkarza. Gruszczyński, jak zawsze, zdobywał publiczność mazrycielskim timbrem głosu, który na tle zaczarowanej groty, (efektowny popis Parnela i Zizi Halamy oraz zespołu girlsów) i Placu Św. Marka brzmiał egzotycznie. A przytem te gołębie na scenie! Poco płacić za paszport 400 zł., aby je zobaczyć w Wenecji? Wystarczy „Morskie Oko".

Mieczysław Jarosławski

AKADEMJA KU CZCI JÓZEFA WEYSSENHOFFA.

W dniu 23 maja, w sali teatru Wielkiego odświętny panuje nastrój. Wieczorowe toalety pań, fraki panów, na twarzach widoczne podniecenie i zaciekawienie.

Uroczystość zaszczycił swą obecnością minister W.R. i O.P. p. Jędrzejewicz, który przed rozpoczęciem programu udekorował Jubilata złotym krzyżem zasługi. Wśród licznie zebranej publiczności reprezentowane są władze państwowe i miejskie. Przedstawiciele świata literackiego i prasy przybyli gremjalnie.

Godz. 8 min. 15. W loży pierwszego piętra, przybranej zielenią, ukazuje się Józef Weyssenhoff. Publiczność powstając z miejsc wita Go oklaskami.

Jubilat jest wzruszony, świadczą o tem bladość twarzy i błyszczące oczy. Zamglonem spojrzeniem obejmuje salę. Czuje zapewne wdzięczność dla tych wszystkich, którzy przybyli złożyć hołd Jego twórczości.

Twórczość pisarza i sam pisarz — jakże niezmiernie rzadko łączy czytelnik te dwa pojęcia.

40 lat pracy literackiej... Ile zmagań, wzlotów i zwątpień musiał przeżyć ten człowiek zanim stworzył dzieła za które Go czcimy. Ile włożył w nie bólu i radości.

Dzisiaj kiedy wspomina to wszystko, a musi chyba wspominać, jednego zapewne pragnie od swoich przyjaciół — serca. Może myśli, że z tych okruchów uczucia zebranych u ludzi odbuduje własne, zmęczone serce, to serce, którem szafował tak hojnie. Ciepłe smugi wzruszeń przedziwnych, prawdziwych, wplecionych misternie w słowa. Zaczarowany świat wyobraźni i wspomnień. Zdania, rozdziały, całe fragmenty — cząsteczki duszy, cząsteczki serca.

Czytelnicy i pisarz... Znają Jego książki, nie znają Jego. Ciekawem, wnikliwem spojrzeniem obejmują postać twórcy. Chcieliby zbadać i posiąść tajemnicę twórczości, chcieliby wszystko wiedzieć i wszystko zrozumieć.

Uroczystość rozpoczęta.

Prezes Tow. Literatów i Dziennikarzy A. F. Ossendowski z właściwą sobie swobodą i wdziękiem wita Jubilata, podnosząc Jego zasługi dla literatury.

Następnie zabiera głos Wacław Sieroszewski, wręczając Jubilatowi dyplom honorowy Zw. Zaw. Literatów w Poznaniu. Dalej przemawiają b. wojewoda Sołtan, filister „Polonji", w imieniu Dorpatczyków i w imieniu Tow. Łowieckiego p. Gąsiorowski, który wręcza znakomitemu piewcy kniei i odtwórcy polowań „Złom", najwyższe odznaczenie z pod sztandaru Św. Huberta.

Z kolei St. Miłaszewski w interesującym odczycie przedstawia syntezę twórczości Weyssenhoffa.

W części koncertowej chór „Harfa", pod dyrekcją prof. Lachmana, wykonywuje trzy pieśni do słów Jubilata i p. Ignacy Dygas, przy akompanjamencie J. A. Maklakiewicza, śpiewa „Dzień jaki będzie" (słowa J. Weyssenhoffa, muzyka J. A. Maklakiewicza). Na zakończenie pierwszej części Mieczysław Frenkiel odczytuje fragment z „Puszczy" — „Śmierć Moroza" i p. Józef Śliwicki recytuje wiersz Lucjana André. Do loży Weyssenhoffa wniesiono kosz białego bzu. Widnieje na tle wonnego kwiecia głowa Jubilata i pochyla się w niemej podzięce.

Drugą część programu wypełnia przeróbka sceniczna „Sobola i panny", w opracowaniu J. A. Hertza. Pani Ankwiczówna jest śliczną Warszulką, a panowie Hnydziński i Wesołowski dzielnymi paniczami.

Przed oczami widzów przesuwa się pięć obrazów, pełnych szczerej melancholji i smutku. Powtarzają się tak dobrze znane sceny poznania i pożegnania, sceny z medalikiem i pełne tragizmu rozstanie.

Nad całością dominuje czysta miłość Warszulki, tego uosobienia kobiecości. Uroczystość skończona.

Publiczność opuszcza miejsca, dążąc ku wyjściom i oto nagle, wpół drogi, zatrzumują ją głos ze sceny. „Panie i panowie — niech mi będzie wolno kornie złożyć w hołdzie wiązankę tych myśli, jako ubogi pęk kwiecia z głębi puszczy poleskiej, skąd bezpośrednio przybywam..."

Płyną słowa proste, niewymuszone, szczere, słowa, w których jest nareszcie serce.

...„Z mgły lat przebolałych, jak żywe stają przede mną wizje przeszłości. Dni mej młodości złotej. Widzę staropolską rezydencję Kucewiczów... dokąd czcigodny Jubilat zwykł zjeżdżać na łowy wiosenne i letnie..."

To przemawia znany dobrze Czytelnikom „Ech Leśnych" autor artykułów łowieckich, pułkownik, hr. Adam Rzewuski.

Nieutajone wzruszenie załamuje głos pułkownika, w drżących dłoniach szeleszczą białe kartki. ...„jest nam taki bliski, taki swój, taki bardzo, bardzo kochany..." Galowy mundur opina pierś z której rwie się krzyk pełen czci i hołdu. Publiczność, twórczość, akademja... nie, nie — to Weyssenhoff i czytelnicy. A w loży, obok Jubilata, podziela wzruszenie przyjaciela, równie dobrze znany czytelnikom z licznych krytyk literackich, Antoni Godziemba - Wysocki.

Pobladłą twarz Jubilata rozjaśnia uśmiech, ręce składają się do oklasku.

...„Niech nam żyje sto lat dostojny czcigodny..." — kończy pułkownik Rzewuski. Niech żyje Józef Weyssenhoff! Niech żyje! — powtarza publiczność.

Janina Rosnowska.

PODZIĘKOWANIE JÓZEFA WEYSSENHOFFA

Nie mogąc sprostać zadaniu godnego dziękczynienia za bardzo liczne i łaskawe świadectwa uczuć przyjaznych, okazane mi w żywych słowach, listach, telegramach i w przeróżnych owacjach z okazji uroczystego obchodu 40-lecia mojej pracy literackiej, udaję się do zdaw na wypróbowanego pośrednika — do druku.

Nie omyliłem się, poświęcając mój Pamiętnik literacki — czytelnikom. Stawili się tłumnie i głośno dali mi dowody duchowego pokrewieństwa i miłości. Dzisiaj, w atmosferze rozgrzanej przez

zabiegi kilkunastu mych przyjaciół, wynurzyły się z tłumu mych czytelników głosy silnych pisarzy, darząc mnie wymowną pochwałą, która dała mi otuchę, że nie darmo trudziłem się dla ogółu. Tym kolegom ślę specjalną braterską podziękę i jeżeli mogę mieć nadzieję, że pamięć o mnie przetrwa kres mego życia, to zawdzięczać będę niejednemu z nich... Zawielu ich jest, abym ich tutaj wyliczał, a tembardziej stopniował zaciągnięty względem nich mój dług wdzięczności.

Jeszcze jedno radosne spostrzeżenie uczyniłem w ostatnich czasach. Społeczeństwo polskie zrozumiało do głębi moje zamiary pisarskie, oceniło trafnie, że nawet gorzkie wyrazy satyry z serca mi płynęły, że piętnowałem to, co mi się wydało wadliwem, a serdecznie miłuję wszystko, co polskie jest i piękne w Polsce. Społeczeństwo w dniu jubileuszowym obdarzyło mnie serdecznem, niezamąconem uznaniem. Niech do tych, którzy to moje święto tak pojęli i odczuli, a tembardziej do tych, którzy je urządzili, dotrą te nikłe wyrazy mojej gorącej podzięki.

(—) Józef Weyssenhoff.

P. S. Upraszam wszystkie pisma polskie o powtórzenie.

Kino „Hollywood" — „Faworyta Maharadży", reżyserja: Raoula Walsha; w rolach głównych: Victor Mc Laglen i Edmund Lowe.

Wesołe przygody dwóch przyjaciół, podoficerów marynarki amerykańskiej. Na wstępie kilka fragmentów z powstania w Nicargui, a potem już beztroska komedja. Trudno tu mówić o jakiejś konsekwentnej treści, nie mniej trudno powstrzymać się od śmiechu, oglądając fantastyczne epizody tego filmu. Perypetje miłosne podoficerów, wędrujących po całym świecie, kończą się niebezpieczną wizytą w haremie tureckiego paszy, którego faworytą została ich dawna przyjaciółka. Lekkomyślna Elza korzystając z nieobecności paszy bawi się wesoło w towarzystwie marynarzy, a tymczasem pasza wraca niespodziewanie. Przezabawna ucieczka skonfudowanych wielbicieli kończy szereg niesamowitych przygód.

Gra Victora Mc. Laglen'a, jak zwykle dobra, Edmund Lowe sekunduje mu z humorem.

Kino „Casino" — „Karamazow", dramat duszy rosyjskiej według powieści Dostojewskiego. Realizacja: Fedor Ozep; w rolach głównych: Anna Sten, Fritz Kortner i Fritz Rasp.

Widzieliśmy już na ekranie Tołstoja w pamiętnem „Zmartwychwstaniu", teraz możemy podziwiać Dostojewskiego. Który z tych dwóch filarów literatury rosyjskiej jest bardziej fotogeniczny? Oto pytanie, które nasuwa się mimowoli. Dostojewski, czy Tołstoj? Gdyby chodziło o sylwetki pisarzów odpowiedź byłaby zapewne łatwa, ale tu chodzi o ich twórczość. Literatura na ekranie — srebrny ekran pręży się dumnie. A więc Dostojewski czy Tołstoj?

Trzeba pójść i zobaczyć, potem dopiero będzie można dysputować. Artyści choć nieznani grają dobrze, a całość programu dopełniają ciekawe aktualności i sympatyczna groteska rysunkowa.

jot.



NOWA POWIEŚĆ WANDY MIŁASZEWSKIEJ

Nakładem przodującej dziś niewątpliwie na polu wydawniczem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, ukazała się nowa powieść Wandy Miłaszewskiej p.t. „Na Cztery Wiatry". Poczytna autorka tym razem obrała sobie za temat losy rodziny — dwóch braci i tyluż sióstr. Matka umiera i jakże szybko słabną łączące małe grono więzy rodzinne. Tylko najmłodsza, nawpół ślepa Jadwinia, niby prawdziwa kapłanka Westy stoi przez czas dłuższy na straży domowego ogniska. Ona jedna dba o wszystkich. Ona jedna ma serce. Reszta to wcielenie egoizmu. Zarówno najstarszy Witold, planujący ożenek z bogatą bankierówną jak i utracjusz Bronek, czy piękna Irena, padająca ofiarą zwodniczych obietnic swego szefa biurowego — wszyscy żerują na poświęceniu najmłodszej swej siostry.

Typy ich są doskonałe. Trudno wątpić, że autorka dała tu zarys postaci rzeczywistych, wnikliwie podpatrując życie. Bohaterowie jej to ludzie pospolici, codzienni, nie wznoszący się niczem nad poziom przeciętności, a na szarem tle ich charakterów tem jaskrawiej wyróżniają się postacie poczciwej Jadwini i szlachetnego dziwaka — wuja Erazma, który dla dogodzenia swemu umiłowaniu książek potrafił sprzedać majątek i zamienić jego równowartość na brzęczącą monetę złotą. Resztki tego majątku po najdłuższem życiu strego bibljofila mają zabezpieczyć byt Jadwini. One to jednak stają się pokusą, pożądaną zdobyczą, po którą wyciągaja obaj chciwe ręce bracia. Więzy rodzinne coraz więcej rozluźniają się i słabną. Rwą się wreszcie do reszty i rodzina rozprasza się — na cztery wiatry.

J. T.

Również nakładem Księgarni św. Wojciecha, okazały się następujące książki:

D. Gayówna. *„Dobroczyńca ludzkości"*. Str. 157.

Znana jest główna zasługa Pasteura, wynalazcy szczepionki, niszczącej straszną, zabójczą siłę jadu wścieklizny. Natomiast w cieniu pozostawały szczeble jego życia i działalności naukowej, po których coraz wyżej wstępował, gdy niewidzialny Genjusz oświecał myśl jego, rozsłaniając przed nim mroki obcych pojęć, błędnych dowodzeń i metod. Teraz dzięki książeczce znanej popularyzatorki całokształt życia i działania Pasteura jasny będzie dla szerszych kół czytelników.

A. B. Dobrowolski. *„Amundsen na tle Nansena i wikingów polarnych"*. (Bibljoteczka Przyrodnicza). Z 24 ilustracjami i mapką. Str. 54 w 16-ce.

Autor jest nietylko znakomitym uczonym, twórcą dzieła p. t. „Historja naturalna lodu", ale i jednym z niewielu znawców w Polsce stref podbiegunowych. Ponadto umie świetnie władać piórem, czego dał teraz dowód w dramatycznym rzucie oka na życie Amundsena. Pochwała jego czynów musi wywołać silne echo w sercach młodych czytelników. Do nich to we wstępie zwraca się autor, wołając: „trzeba na tym świecie coś zrobić, coś ponad siebie, większego od siebie, ukochać dzieła ludzkie, które nas, ludzi przerastają".

M. Faraday. *„Dzieje Świecy"*. Sześć wykładów popularnych w przekładzie Marji i Stanisława Kalinowskich. Z 35 rycinami i portretem autora. „Dla Wszystkich", serja C. Bibljoteczka przyrodniczo - geograficzna Nr. 201. Str. 125, w 16-ce.

Bibljoteczkę przyrodniczą w nowem wydawnictwie Księgarni św. Wojciecha, otwiera klasyczny odczyt Faradaya o świecy. Rzecz poprzedzona wstępem prof. Stan. Kalinowskiego, zawierającym życiorys Faradaya, i opatrzona w uwagi tłumacza, zaleca się jak najbardziej do wszystkich bibljotek szkół średnich i zawodowych.

Prof. Edmund Jankowski. *„Sad i ogród owocowy"*. Część specjalna. Wydanie piąte dopełnione. Z licznemi rysunkami. (Gleba Nr. 7). Cena zł. 8.— Rok 1931.

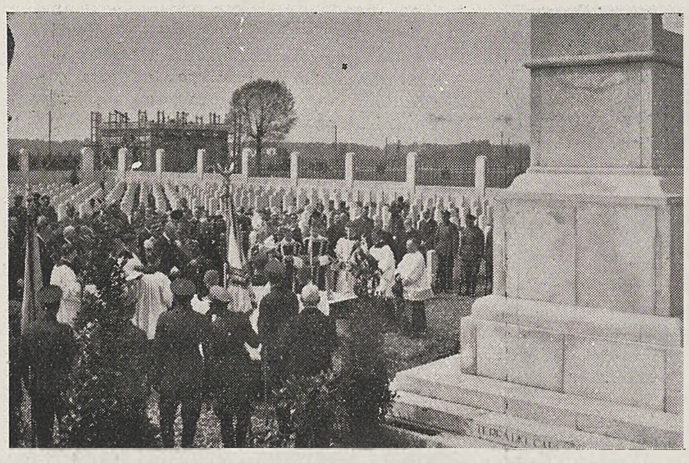
W wydawnictwie „Gleba" ukazała się świeżo część druga obszernej pracy znakomitego pomologa prof. Edmunda Jankowskiego, poświęcona hodowli poszczególnych roślin i gatunków owoców.

Praca prof. Jankowskiego, zarazem świetnego teoretyka jak i znakomitego praktyka, może być z największem zaufaniem polecana początkującym hodowcom i właścicielom sadów, a jest tem milsza, że wskroś rady fachowca przebija uczucie patrjotyczne obywatela, pragnącego by ziomkowie zwrócili pilniejszą uwagę na sadownictwo, jako bardzo korzystną, lecz dotąd naogół lekceważoną gałąź wytwórczości roślinnej.

Ł Ą K A

Płachta trawy szumiącej malowana tęczą,
Mieni się bujna łąka kwiatami utkana,
Przezroczystych dmuchawców bielą osypana
I wierzb starych, zgarbionych zamknięta obręczą.
Wyzłociło ją słońce aż po same brzegi,
Pachną zioła nagrzane rześkim aromatem,
Cała łąka jest wielkim o stu woniach kwiatem,
Środkiem białe motyle lecą jakby śniegi.
W dzikich śliwach, tarninie stary krzyż się chwieje,
A Chrystusik, co wisi w męce i zczerniały
Zamglonemi oczami ogarnia świat cały,
Białe puchy dmuchawców wiatr mu wkoło sieje.

Janina Boczkowska



Z pobytu delegacji włoskich ochotników w stolicy. Na cmentarzu żołnierzy — Włochów.



Wręczenie nagrody por. Rucińskiemu na konkursach hippicznych w Warszawie.

Z MIESIĄCA

NIEMCY

Bojówki Hitlerowskie zostały po wyborach prezydenta Rzeszy rozwiązane.

— Po rozwiązaniu bojówek Hitlerowskich w Niemczech Hitlerowcy przenieśli się do Gdańska, gdzie ma się znajdować ich sztab jeneralny.

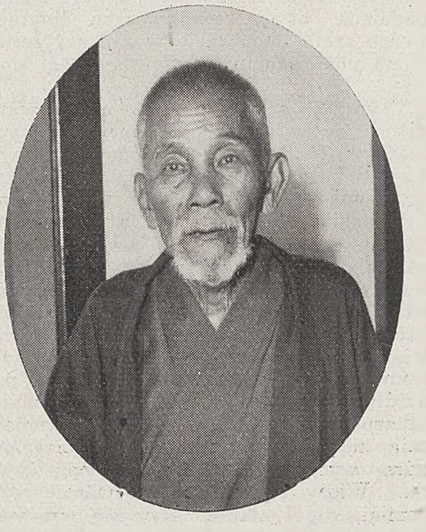
— Hakatyści niemieccy nie przestają szczuć przeciwko Polsce i alarmować opinji publicznej na temat rzekomo grożącego Prusom Wschodnim niebezpieczeństwa.

— Kronprinz niemiecki wychodzi coraz bardziej z ukrycia i coraz więcej się o nim w Niemczech słyszy. Pisma demokratyczne pisząc o nim opuszczają już dodatek „ex". Na ulicach Berlina widzi się rozklejone plakaty z podobizną kronprinza.

ROSJA

Prasa włoska donosi o olbrzymich zbrojeniach sowieckich. Sowiety nabyły w ciągu ostatnich dwu lat 420 tanków, 100 hydroplanów i liczne aeroplany. Przemysł awjacyjny sowiecki może już obecnie dostarczać jakoby 100 aeroplanów miesięcznie. Na rok 1932 Sowiety mają wyprodukować: 80 wielkich aeroplanów do bombardowania, 120 aeroplanów wywiadowczych, 342 myśliwskich, 80 szkolnych, 112 towarzyszących piechocie.

Zaś dla awjacji morskiej: 63 aeroplany do bombardowania, 241 hydroplanów



Premjer japoński Inukai, zamordowany przez „nad - patrjotów" japońskich na znak protestu przeciw niedość ostrej formie wojny z Chińczykami

myśliwskich, 86 hydroplanów wywiadowczych, 18 hydroplanów ćwiczebnych. Jedną z ostatnich zdobyczy sowieckich jest jakoby nowy typ wielkiego aeroplanu bombowego, mającego przewozić siedem ton ładunku, i posiadającego promień działania do 750 kilometrów.

Siły awjacyjne sowieckie w chwili obecnej liczą dwa tysiące aeroplanów. Na rok 1935 liczba ta ma dojść do 5 tysięcy.

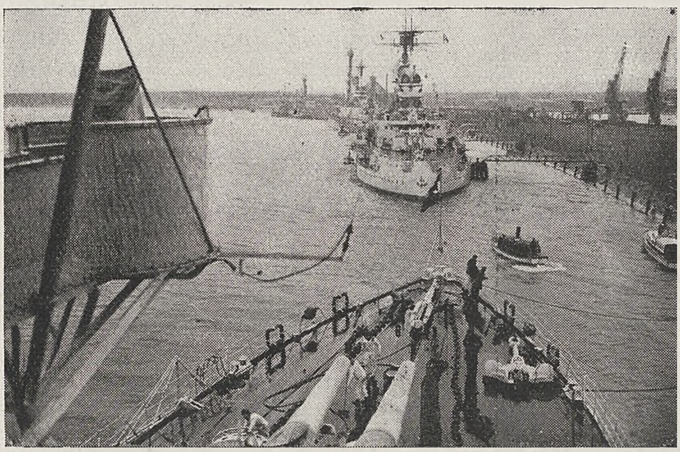
— Stosunki sowiecko - japońskie są nader naprężone, należy się liczyć z możliwością zatargu zbrojnego japońsko - sowieckiego. Rząd sowiecki zakupił w Londynie 47 tysięcy tonn pszenicy, skierowując ją do Władywostoku, gdzie koncentruje się armja czerwona.

— Sowiecki transport kolejowy przechodzi nienotowany od lat 10-ciu kryzys. Powodem tego jest wadliwa produkcja szyn kolejowych. Na linji permskiej szyny ułożone na przestrzeni 100 kilometrów okazały się niezdatnemi do użytku po przejściu pierwszego pociągu.

— Bezbożni rozpoczęli w okresie świąt Wielkanocnych wzmożoną agitację przeciwreligijną. W odpowiedzi na to włościanie dokonali licznych napadów terrorystycznych na członków Związków bezbożników.

— Rada wojenno-rewolucyjna wydała na 1 maja odezwę do armji czerwonej, wzywając ją do szczególnej gotowości bojowej.

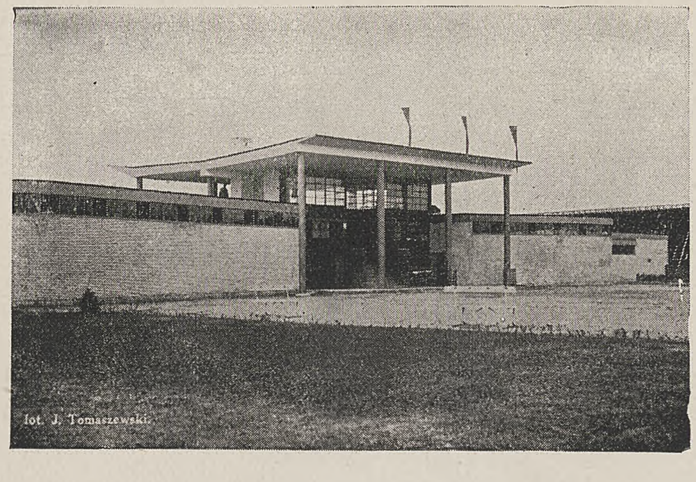
— W Austrii, Węgrzech i Niemczech pojawiły się znowu nowe, fałszywe banknoty studolarowe, które jak śledztwo wykazało fabrykowane są na wielką skalę w Rosji sowieckiej. Banknoty te są wysyłane do Chin oraz rozrzucane w Europie. *Esbe.*



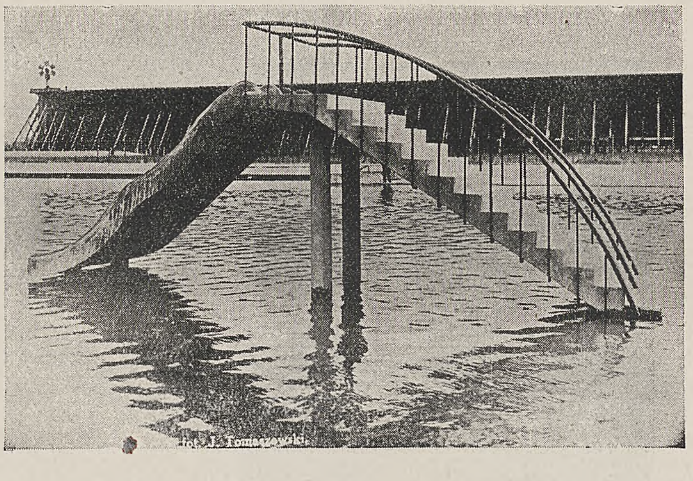
Wojenna flota niemiecka podczas manewrów w zatoce Świnioujścia



W letniej rezydencji rumuńskiego króla Karola II spłonął pałacyk myśliwski



Wejście do kąpieliska międzytężniowego



Ześlizgi dziecęce na wielkim basenie solankowym

WIEW MORZA NAD RÓWNINĄ KUJAWSKĄ
WRAŻENIA Z WYCIECZKI DZIENNIKARSKIEJ DO CIECHOCINKA

W dniach 28 i 29 maja, grupa dziennikarzy stołecznych zwiedziła Ciechocinek i jego wspaniałe urządzenia nowoczesne, które postawiły to kąpielisko nasze w czołowym szeregu uzdrowisk europejskich. Poniżej podajemy garść wrażeń, zebranych podczas tej wycieczki przez p. Jura, który brał w niej udział jako przedstawiciel „Ech Leśnych".

Ożywienie krajobrazu z natury nużąco - jednostajnego nie jest rzeczą łatwą, ale zmiana klimatu miejscowości czysto lądowej na morski, wkracza już niemal w dziedzinę cudów. Tak jednak stało się w Ciechocinku. Stare to uzdrowisko, leżące na piaszczystej, miejscami pokrytej mokremi torfowiskami, nizinie kujawskiej, dzięki umiejętnemu zdrenowaniu straciło znacznie na wilgotności, pozyskało natomiast przepiękne parki, w których srebrzą się zwierciadła cichych jeziorek, podczas gdy w całej okolicy wyczuwa się rzeźwiący, przepojony jodem, wiew morza.

Uderza to każdego zaraz po przejeździe. I mimowoli, wprost wbrew zdrowemu rozsądkowi, nie chce się uwierzyć, że oko nie napotka tu nigdzie bezkresnej powierzchni wodnej, że gdzieś w pobliżu, poza wałem ochronnym, płyną wąskiem korytem jedynie szare fale wiślane, że jeszcze dobrych kilka godzin podróży w dusznym wagonie dzieli nas od wybrzeża mało słonego Bałtyku.

Te rojenia o morzu ciechocińskiem powoduje powietrze ciechocińskie, a powietrze jest zasługą tężni. Cóż to takiego? — Olbrzymie rusztowania, czteropiętrowej wysokości, a długie na 800 metrów lub więcej może, sklecone z potężnych bali drewnianych, przełożonych grubą warstwą chrustu, po których ścieka woda doprowadzana tu ze słonych źródeł Ciechocinka i tężeje, czyli zgęszcza się w pożądany roztwór solny.

— Kiedy to zbudowano? — pytam oprowadzającego naszą wycieczkę przedstawiciela uzdrowiska ciechocińskiego.

— O już dość dawno — brzmi odpowiedź. — Zbudował je Bank Polski za czasów dyrekcji księcia Lubeckiego w r. 1824, wyłącznie dla celów przemysłowych. Dzięki tężniom otrzymywano silny roztwór solanki, z której następnie sól czystą wydobywała warzelnia.

A więc już przeszło sto lat trwają te olbrzymy, obrośnięte grubą warstwą soli wapiennych, podobne do przedhistorycznych budowli palowych. Żelazo czy cegła dawno uległyby niszczącemu działaniu żrącego rozczynu. Drzewo wytrzymało wiek zgórą. Kiedyś słoną wodę wtłaczano na szczyt tężni za pomocą najprymitywniejszej siły napędowej — wiatraków. Przetrwały one po dziś dzień, ale są już na emeryturze. Rolę ich przejęły nowczesne pompy, ale i same tężnie zmieniły swe przeznaczenie.

Rola Ciechocinka w pokryciu zapotrzebowania na sól spożywczą jest minimalna. Mamy przecież Wieliczkę i wielkie złoża w Małopolsce Wschodniej. Moglibyśmy pokryć z tych zapasów zapotrzebowanie całego świata. Dlatego też głównem zadaniem tężni ciechocińskich nie jest dziś wytwarzanie soli kuchennej, lecz produkcja ożywczego powietrza morskiego. Złudzenie morza zaś uzupełnia olbrzymi basen wodny o powierzchni przeszło 4000 metrów kwadratowych, urządzony na rozległem polu międzytężniowem, zabezpieczony przez ich wyniosłe garby od hulających po obszernej nizinie kujawskiej wichrów.

Ten basen to jedna z najnowszych zdobyczy technicznych Ciechocinka, stawiających stare uzdrowisko nadwiślańskie w czołowym szeregu podobnych kąpielisk europejskich. Woda w nim jest przejrzysta jak szkło i... ciepła, bo dziś wszakże Ciechocinek może się poszczycić osobliwością nielada — własną termą, gorącem źródłem słonem, tryskającem z głobokości 1300 metrów.

Bo to morze ciechocińskie nie jest jednakże zupełnem urojeniem. Niegdyś, przed wielu tysiącami lat, jego zielonawe fale przewalały się po całej rozległej równinie kujawskiej, a spłynąwszy wreszcie do Oceanu, na skutek jakiegoś wielkiego kataklizmu geologicznego, pozostawiły po sobie trwałe wspomnienie w postaci ukrytych pod ziemią potężnych pokładów soli, wśród których płyną gorące, obfitujące w przeróżne uzdrawiające składniki strumienie.

Całe dwa lata drążyły ziemię cierpliwe świdry, aż pewnego dnia dzieło inżynierów-górników i lekarzy-balneologów uwieńczyło się pomyślnym skutkiem. Kosztem miljona złotych stanęła terma ciechocińska, niosąc zdrowie i życie wielotysięcznej rzeszy wszelakich artretyków i reumatyków. Ten słup wody gorącej, tryskającej z głębi ziemi, jest tak obfity, że wystarcza w zupełności na zasilenie wszystkich wanien w łazienkach, jak i na zapełnienie małego basenu położonego tuż przy cieplicy, a wreszcie na zasilenie wielkiego zbiornika z pola międzytężniowego.

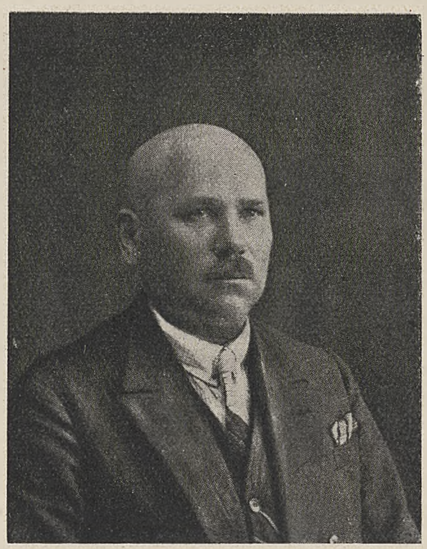
A trzeba dodać, że tu i tam woda krąży i zmienia się bezustannie. Różnica polega na tem jedynie, że basen mniejszy zawiera solankę gorącą, wytryskającą bezpośrednio ze źródła, a zatem mętną, bo obfitującą w takie składniki lecznicze jak jod, żelazo, sól i t. d. Przeznaczony więc jest dla chorych, którzy wolą brać lecznicze kąpiele pod gołem niebem, zamiast w przesyconej parą kabinie łazienki. Wielki basen natomiast będzie służył ludziom zdrowym dla sportu i rozrywki. W tym celu wody cieplicy, tryskające na pewnem podwyższeniu z pięknej fontanny, przechodzą przez szereg filtrów i pozbywszy się rdzawej rudy żelaznej oraz części soli, nasyciwszy się natomiast tlenem, wpływają do wielkiego zbiornika w pełni nieskazitelnej przejrzystości.

Basen ten i urządzone dokoła niego plaże są pomyślane w taki sposób, aby półtora tysiąca osób mogło z nich korzystać jednocześnie. Nie każdy jednak zdoła się dostać nad brzeg owego małego morza południowego. W szatniach, posiadających niespotykane jeszcze w naszych stosunkach urządzenia komfortowe, jak przeróżne natryski, suszarnie powietrzne i t. p. czuwa komisja lekarska, której zadaniem jest orzekanie czy dany kandydat może korzystać z basenu i plaży publicznej. A zatem niebezpieczeństwo zawleczenia jakiejkolwiek choroby zaraźliwej nie istnieje. Ludzie zdrowi i czyści będą się mogli kąpać i plażować z całym spokojem.

Zarówno terma jak i wielki zbiornik wody słonej zapewnią Ciechocinkowi niewątpliwie stały napływ gości. Chciałoby się mieć nadzieję, że nietylko krajowych. Ciechocinek dzisiejszy powinienby właściwie ściągać mnogie rzesze chorych również z najbliższych krajów obcych. Na Niemców nie możemy liczyć oczywiście. Ale reszta? Danja, Szwecja, Norwegja, Finlandja, Łotwa i Estonja mogłyby przecież korzystać z tego jedynego w swoim rodzaju uzdrowiska termalnego na całej przestrzeni Europy północno-zachodniej. Jest to już jednak sprawa wytężonej, konsekwentnej propagandy, takiej, jaką prowadzą inne państwa, posiadające podobne uzdrowiska.

Jur.

Ś. P. NADLEŚNICZY WEIZNEROWSKI.



(Wspomnienie pośmiertne).

Dnia 25.-IV b. r. ubył z grona naszego — leśników — ś. p. em. Nadleśniczy Dyrekcji Lasów Państw. w Toruniu, Wiktor Weiznerowski.

Urodził się dn. 26.-XII.-1882 r. w Żblewie na Pomorzu. Po skończeniu w r. 1904 gimnazjum w Chełmnie, oraz studjów na akademji leśnej w Therancie w r. 1909, nie mogąc, jako Polak uzyskać stanowiska w Niemczech, zmuszony był udać się jak wielu innych do Austrji, gdzie praktykował, później zarządzał lasami Próchnickiemi i lasami X. X. Czartoryskich w Czercach.

Po wskrzeszeniu Państwa Polskiego wraca natychmiast w strony rodzinne— na Pomorze, — gdzie obejmuje w r. 1920 stanowisko Inspektora przy Dyrekcji Lasów Państw. w Gdańsku.

W r. 1921 przechodzi na stanowisko Nadleśniczego do N-ctwa Wirty, skąd przenosi się w r. 1923 do N-ctwa Sulerzyno na Kaszubach, administracją, którego kierował do dn. 31.-III b. r.

Dnia 1.-IV b. r. przeniesiony został z powodu choroby serca w stan spoczynku.

Doczesne jego szczątki pochowano w Starogardzie, gdzie ś. p. Nadleśniczy Weiznerowski zmarł.

Trumnę ze zwłokami wynieśli na miejsce spoczynku byli jego podwładni leśniczowie z N-ctw Wirty i Sulerzyna.

Za trumną kroczyli poza rodziną i liczną rzeszą jego znajomych przedstawiciele Dyrekcji, oraz Związku Zaw. Leśników Rzplitej.

Ubył nam jeden z tych leśników, którzy pokochali las.

Niech poszum pobliskich jego mogile borów Wirtowskich, gdzie pracował dla dobra lasu polskiego, ukołysze go do snu wiecznego.

Ess.

PIEŚŃ GÓRALA

Płynie górala tęskna pieśń zawrotna, dzika,
Płynie tęsknotą w hale, gdyby zawierucha,
W góry tęsknicą bije, w echu dźwięczy: hu! ha!...
Wieje goryczą ostra pieśń tętliwa — dzika!...
Z echem w przestworza goni, w echu w świat pomyka,
Księżyc jej srebrny w dziwnem zamyśleniu słucha.
Smreki słuchają pieśni, co jak wichr wybucha,
Górskim oddechem wieje pieśń zawrotna, dzika!...
Czy Cię dziewa zdradziła, smętny Ty góralu?
Jeszcze niejedną taką znajdziesz na Podhalu!...
Nigdy!... dla jednej tylko pieśni tęskne płyną,
Przez jedną tylko jako pieśniarz górski słynę,
A żem szaleńczo kochał, gdyby zawierucha,
Niech się w tęsknicę moją cały świat zasłucha!!

MARJA RING

JERZY K. MACIEJEWSKI

5)

PAJĄK W ZŁOTEJ KLATCE

— Nie może przyjść, pani prezesowo... Skaleczona ręka. Może przysłać pannę Chomątowską?

Ostre dźwięki w słuchawce. Prokurent śpiesznie, z widocznym przestrachem, wtrąca:

— Dobrze, dobrze, pani prezesowo. Powiem mu. Już idzie.

— Proszę natychmiast udać się na dół. Pani prezesowa gniewa się.

Wybieg się nie udał.

Jak zwykle Ada - pokojówka przeprowadziła go do Ady - pani prezesowej. Jedna miała łzy w oczach, druga czający się w kątach ust uśmieszek.

— Pan może się na mnie gniewa za ten niewinny podstęp? — pytała go, podając łaskawie rękę do pocałowania.

— Pani prezesowa wezwała mnie?... — uchylił się od odpowiedzi.

— Trzeba być grzecznym, panie... Stefku. Wezwałam, ale nie do pisania. Widzi pan w sobotę, niemal w ostatniej chwili, przyszli goście i to tacy, którzy w tych dniach wrócili z Egiptu. Podobno u nich życie dopiero zaczyna się o tak późnej godzinie. No, nie sposób było odmówić. A że nie chciałam panu zrobić zawodu, poleciłam Adzie siebie zastąpić. Bóg mi świadkiem, że tylko pana przyjemność miałam na myśli i żałowałam tak bardzo, że nie mogłam tam być. Ale to nic straconego, nieprawdaż? Proszę siadać tu obok, na kozetce...

Zaczynał już wierzyć. Może rzeczywiście oszczędzała mu zawodu? A on ją tak niegodziwie posądzał.

— Zresztą Ada milutka dziewczyna. Nie pocałowałeś jej ani razu?

— Nie, skądżeby! — zaprzeczył z przejęciem, konotując sobie, że mówi mu „ty".

— Chciałbyś sobie powetować „stratę"? To pocałuj mnie, ale mo-cno — przeciągnęła pieściwie a lubieżnie.

Narzucony szlafroczek dziwnie lekko rozchylał się na piersi — —

Płynęły dni, nabrzmiałe oczekiwaniem upragnionego dzwonka i następujących w chwilę po nim pieszczot szalonych, pożerających siły, jak płomień pożera suche trawy stepowe. Zniknął i rozpłynął się w niebycie cały świat. Jedyną realną wartością, jedyną istniejącą rzeczą była Ona, wielmożna, nienasycona pani prezesowa. Parę razy zatrzymała go nawet na noc, puszczając dopiero rano, przed godziną udania się do biura, bowiem pani prezesowa dbała o punktualne stawianie się urzędników do pracy. Zrobiła jednak wyłom z tej zasady, proponując Stefanowi wspólny wyjazd do Warszawy.

— Tutaj znają mnie wszyscy i w twem towarzystwie nie mogę się nigdzie pokazać — mówiła. — Warszawa co innego. To względnie duże miasto. Jest parę przyzwoitych lokali... można się zabawić.

Zwrócił jej uwagę, że prokurent zagiął na niego parol.

— Już ja to załatwię, możesz śmiało jechać — uspokoiła jego skrupuły.

— Ale ja i pieniędzy nie mam. Wiesz, że w długach siedzę.

— Pożyczę ci, oddasz, jak będziesz miał. Warunek: — dodała żartobliwie — każdy płaci za siebie. Po naszemu, po niemiecku...

Po powrocie Stefan nie uznał za stosowne tłu-

maczyć się szefowi ze swej nieobecności i następnego dnia dostał lakoniczny list z wymówieniem posady. Z miejsca niemal. Trzymiesięczne wynagrodzenie miał dostać na rękę. Błyskawicznie obliczył, że pokryje ono zaledwie koszty ostatniej eskapady do stolicy.

Z tym arkusikiem papieru w ręku stanął milcząc w obliczu prokurenta. Ten zsunął okulary z oczu na czoło i zatarł ręce.

— Tak, panie Chędogo, będzie pan miał nauczkę, że biuro, to jak pociąg: nie wolno się spóźnić nawet minuty...

— W czasie takich mrozów to i pociągi spóźniają się po kilka godzin — pisnęła maszynistka i Stefan nie mógł wymiarkować, czy drwiła z niego, czy brała w ten sposób w obronę.

— Sprawa jeszcze nie jest przesądzona — powiedział z namysłem. — Pani prezesowa moją nieobecność wytłumaczy.

— Sprawa pana jest już dawno przesądzona — z naciskiem potwierdził tamten. — My potrzebujemy pracowników oddanych firmie, spełniających ze zrozumieniem swoje obowiązki, a nie automatów — i to źle funkcjonujących automatów. Żegnam pana!

— Och, zobaczymy się jeszcze! — rzucił Stefan takim tonem, że prokurent okulary nasunął na oczy i z ciekawością spoglądał za odchodzącym.

Ani tego dnia, ani dni następnych Stefan nie był wzywany do pani prezesowej. Czwartego popołudnia poszedł sam. Pokojówka Ada, prowadząc go do pani Ady, szarpnęła leciutko za rękaw. Zmierzył ją niewidzącym wzrokiem.

— Widzi pan: mówiłam. Był pan zabawką tylko. Już jest inny, a pan jako zbyteczny — może odejść.

— Co ty wiesz! — żachnął się niecierpliwie.

Zmierzającego zdecydowanym krokiem ku biurku trzymała pani Ada w połowie drogi pytaniem:

— Co powiesz? — i nic więcej.

— Wymówiono mi posadę. Wyjazd do Warszawy był ostatnią kroplą w tej czarze ogólnej niechęci, jaka mnie — z powodu ciebie — w biurze otacza.

— Ach tak? No, to ja to załatwię.. A teraz będzie musiał już odejść. Spodziewam się lada chwila wizyty.

Spojrzał na nią i aż zęby ścisnął, palącym dreszczem przepłynęła przez ciało fala pożądania. Podejść do niej — w samej rzeczy szedł powoli, pochylona naprzód głowa, oczy rozjarzone, kurczowo ściśnięte pięści... Był straszny w tej chwili, odrażający, lecz nie wiedział o tem — porwać w ramiona zgnieść, zmiąć, zacałować, a potem... niech się wali świat. Jej ręka nieznacznie posunęła się do dzwonka.

— Cóż to za wizyta, czy można wiedzieć? — pytał z głębi zdławionego gardła.

Spojrzał na niego. Tak patrzą panie prezesowe na niezręcznych lokajów.

Stłumił w sobie zarówno wybuch gniewu, — chyba mógłby ją bić, zabić? Zbyt krótkim był okres czasu, dzielący go od przodków, kłonicą reagujących na podobne zniewagi. I kiedy wcześniej anizeli zazwyczaj szedł przez wielką salę biura, czuł na sobie kłujące spojrzenie kolegów, słyszał szepty i stłumione śmiechy.

Nazajutrz pokojówka Ada współczująco odprawiła go z niczem.

— Pani prezesowa nikogo dziś nie przyjmuje.

Odpowiedź ta powtórzyła się jeszcze nieraz i dopiero wtedy Stefan uświadomił sobie, że jego gra przegrana. Wychodząc z biura postanowił doń nie wrócić. Stało się obmierzłe, aż lepkie od wspomnień i wzdrygał się wewnętrznie, ilekroć uświadomił sobie swą rolę w „miłosnej przygodzie pani prezesowej". Mechanicznie zgarnął przybory do pisania w szufladę, równie bezmyślnie ubrał się w szatni, Brzozowskiemu, który drzwi mu otworzył, w garść wcisnął ostatnie pięć złotych, podniósł kołnierz palta i czapkę na oczy nasunął tak głęboko, że idąc ulicą widział zaledwie niewielki kawałek chodnika, ujęty w ramy futrzanego kołnierza i daszka czapki.

Mróz tego dnia doszedł do najwyższego w ciągu zimy natężenia. Nieliczni przechodnie biegli szybko.

— Jak na pociąg — pomyślał Stefan. A po chwili: — dać się tak haniebnie podejść. I to komu, komu?..

...W ruchomym kawałku chodnika, widzianym w prostokącie czapki i kołnierza, migały nogi, najróżniejsze nogi, swym pośpiechem mówiące jak gdyby: „ach mróz dzisiaj, mróz"!

— Jakie nogi miała ona, pani... Ada? — myślał Stefan z wysiłkiem.

Wiatr zerwał się i pędził z pogwizdem wąwozem ulicy, uderzał w piersi, szarpał ubranie, trząsł gniewnie gałęźmi rachitycznych kasztanów i lip. — A niebieska linja w termometrze opuszczała się powoli niżej i niżej.

Stefanowi było ciepło. Włosie futra mile głaskało twarz, jak łagodna pieszczota kobiecych palców. Do domu miał kawał drogi, to też szedł szybkim krokiem, nie zważając na mijane skrzyżowania ulic, zaledwie w ostatniej chwili unikając zetknięcia z dobrze zakutanymi po dziurki od nosa przechodniami.

— Otom jest jak ten ślimak: cały swój dom na grzbiecie niosę. Gdzie pójdę — będę u siebie. Gdy wewnątrz piecze doznane upokorzenie i tak jest pusto w sercu, najlepiej iść i iść przed siebie, nie myśleć o niczem. Właściwie cóż teraz pocznę...

Przeraźliwie ryknął tuż z boku samochód i jeszcze nie zdążył Stefan sprężyć się do skoku w bok od niebezpieczeństwa, kiedy wielki, błyszczący Packard zmiótł go z jezdni, jak źdźbło słomy.

Zgrzytnęły hamulce, krzyk bólu i przestrachu obił się o potrzaskujące od mrozu mury i skonał. Zdaleka biegł, gwiżdżąc, policjant, krzątało się przy aucie bezradnie kilkoro ludzi. Zmięte ciało nieruchomo płaszczyło się na śniegu, z kącików ust, zwolna stygnąc, wypływały dwa sznureczki krwi.

Z Packarda wysiadała otulona w futro pani prezesowa...

KONIEC.



Pani prezesowa...

JERZY MARJUSZ TAYLOR

3)

KANTELE

Chodziło o to, że Eryk Snellman, podchmieliwszy sobie podczas pewnej koleżeńskiej wieczerzy, założył się, że wyląduje w samym centrum austrjackich wojsk, poczyni zdjęcia i weźmie do niewoli pierwszego oficera nieprzyjacielskiego, jaki mu się nawinie pod rękę. Zakład stanął i Snellman w kilka dni potem wyruszył na swój niebezpieczny wywiad powietrzny. Koledzy - oficerowie byli pewni, że już go nie zobaczą więcej, on jednak powrócił cało i wygrał zakład, przyprowadzając z sobą jeńca, austrjackiego majora, Serba z Hercegowiny, który udzielił wielu cennych informacyj dowództwu wojsk rosyjskich. Tak brzmiała prawda, którą zdołałem wysnuć z pośród tysiącznych wersyj o czynie Snellmana, jakie krążyły na zachodnim froncie, gdzie uwięziony major urastał wprost do rangi naczelnego wodza austrjackiej armji, samego Konrada - von - Hötzendarffa.

Po wybuchu rewolucji raz jeden jeszcze tylko słyszałem o Snellmanie. Był w wojskach Mannerheima. Bił się o wolność i spokój Finlandji.

Potem wszelkie wieści o nim zginęły. Czas i przestrzeń rozdzieliły nas zdawałoby się nazawsze. Gdy po wielu trudach, przedarłem się do Polski i porzuciwszy wszelką myśl o służbie w wojskach lotniczych, wstąpiłem do N. pułku ułanów, nie zasłyszałem nic więcej o Snellmanie, nieustraszonym lotniku, niegdyś towarzyszu mych wycieczek narciarskich.

Ciche jest małe miasteczko pomorskie, w którem dziś mieszkam, obywatel czasowy, wiecznie tęskniący do północnych, rozsłonecznionych pól śniegowych, rozległych jezior, ujętych w ramy różowego granitu i odwiecznych puszcz, w których czai się ryś i pomyka widmowy łoś o rosochatych rogach.

Daleko na przedmieściu stoi dom, w którym zajmuję dwa pokoje. W jednym z nich jest fortepian. Gdy kończę zajęcia służbowe i powracam do domu, namiętne melodje Griega, lub tęskne pieśni Chopina, same cisną się pod palce.

Wśród dźwięków melodyj zawsze widzę Północ. Stają mi przed oczyma wyraźnie śnieżne płaszczyzny, po których mkniemy ze Snellmanem obydwaj. Śwista wiatr w pustych wierzchołkach naszych bambusowych kijów, skrzypi żałośnie zmarzły śnieg pod nartami w wyobraźni, a w strunach fortepianu łka rozlewna barkarola Griega.

Tak ciągnie się do zmierzchu, dopóki mi nie przerwie wejście ordynansa, który otwiera drzwi i mówi (poczciwy Maciek) po cichu:

— Panie rotmistrzu, już przyniosłem kolację.

Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek zobaczę Snellmana. Stało się to jednak, choć w okolicznościach zgoła nieoczekiwanych.

Nadchodził właśnie dzień odsłonięcia pomnika Chopina w Warszawie. Oficerowie naszego pułku z inicjatywy dowódcy, którego zamiłowanie do muzyki, zarówno jak męstwo zbyt głośne są w całym kraju abym potrzebował wymieniać nazwisko, postanowili złożyć wieniec.

Jak zwykle były długie debaty przed rozstrzygnięciem kwestji kto pojedzie w delegacji, jakie należy wybrać kwiaty i t. d. Miał jechać sam dowódca pułku, jednakże potem okazało się, że to jest niemożliwe. Zatrzymała go na miejscu sprawa pewnego zatargu między dwoma oficerami, który należało załatwić honorowa. Zatarg miał drażliwe podłoże. Szło o kobietę.

Byłem na zebraniu w Kasynie, nie przyjmując jednak udziału w debatach. Jak zwykle zamyślony, samotny siedziałem przy stoliku. Nagle drgnąłem. Adjutant pułkowy, oficer wesoły i znany ze swej skłonności do drwin, powiedział wyraźnie.

— Ależ tylko rotmistrz Halle. On zaprezentuje się najgodniej. Zna języki, a przytem lubi muzykę.

Całe zgromadzenie przyjęło ten wybór jednogłośną aklamacją. Począłem się wymawiać, protestować wreszcie, ale na nic się to nie zdało.

W chwili gdy opierałem się, jak mi się wydawało najskuteczniej, przytaczając powody, dla których nie mogę opuścić służby, sprawę zdecydował w sposób dla mnie zupełnie nieoczekiwany dowódca pułku.

— Rotmistrz Robert Halle zechce udać się do Warszawy i w imieniu N. pułku ułanów złożyć wieniec pod pomnikiem Chopina.

Pułkownik mówił grzecznie, słowa jego były uprzejme, wszelako w tonie dźwięczał rozkaz. Nie można się było opierać. Pojechałem, choć sprawiło mi to przykrość. Odwykłem już od zgiełku wielkiego miasta i tłocznych ulic.

Był piękny dzień listopadowy, ciepły i słoneczny. Wraz z ludnością stolicy, która tysiącami zapełniła trybuny, samo niebo zdawało się składać hołd Wielkiemu Pieśniarzowi.

Drżała tafla wody w sztucznem jeziorze. Odbijała się w niej rozchłestana przez wicher płacząca wierzba i rozmarzona, subtelna twarz Chopina, nieco odchylona, zasłuchana w melodję królewskiego poloneza, nuconego przez chór z towarzyszeniem orkiestry smyczkowej.

Umilkły dźwięki pieśni, zakończyły się długie przemowy. Poczęto wreszcie wywoływać nazwy obcych państw i pociągnęły jedna za drugą cudzoziemskie delegacje, niosąc kwietne hołdy Chopinowi.

— Finlandja — zawołano z mównicy.

Obejrzałem się mimowoli. Dwaj nieznani panowie o skandynawskich twarzach nieśli wieniec z żółtych i czerwonych róż, w środku którego błyszczała tarcza ze złotym lwem Finlandji.

Gdy powracali na swoje miejsce, powiodłem za niemi oczami i ku memu zdumieniu ujrzałem Snellmana, stojącego w grupie rodaków. Poznałem go niezwłocznie. Mało się zmienił. W jego rysach malował się ten sam wyraz twardej odwagi i uporu. Był w uniformie. Dostrzegłem odznaki lotnicze i rangę majora.

Złożywszy mój wieniec, przystąpiłem niezwłocznie do starego przyjaciela. Radość jego nie miała granic. Nie wiedział nawet że żyję. Przeciwnie dosięgły go wieści, że wraz z Firleyem, sławnym lotnikiem, zginąłem gdzieś w Indjach, powracając z objętej rewolucją Rosji.

Uroczystość zakończyła się i pojechaliśmy razem do poselstwa finladzkiego, gdzie mój przyjaciel zatrzymał się na czas swej bytności w Warszawie.

(D. c. n.)

KĄCIK ROZRYWKOWY

pod kierownictwem Warsz. Klubu Szaradzistów.

ZAKOŃCZENIE DRUGIEGO KONKURSU KWARTALNEGO.

Termin nadsyłania rozwiązań 3-tygodniowy (od dnia otrzymania numeru).

8. LOGOGRYF (5 pkt.)

Kiedy przeminie zima
sroga, chłodna, głodna,
Gdy przejdzie czas przedwiośnia
z zimnem i deszczami,
Kiedy się zacznie wiosna
ciepła i pogodna —
Las się odświętnie stroi,
pierwsze się barwami.
A więc dęby - praojce
co *dziewiąte* stoją,
Wrośnięte korzeniami
drugie i głęboko,
W zielone liście niby
W koronę się stroją, —
Dumnie mierzą las wkoło
i patrzą wysoko.
A tam znowu pomiędzy
żółta korą sosen
Szóste się zdala brzózka,
niby panna młoda
Wysmukła i powiewna
z rozpuszczonym włosem,
Której za strój wystarczy
własna jej uroda...
Tam znów poważne buki —
tu sędziwe *czwarte*,
Tam kępy *piątych* w słońcu
srebrzyście się mienią,
Owdzie znowu leszczyny
młodej krzaki zwarte, —
A wszystko obsypane
puszystą zielenią...
...Las się pręży do słońca,
głęboko oddycha,
Niby ze snu zbudzony —
ale *ósmy* jeszcze,
A górą poszum idzie,
jak rozmowa cicha, —
Wśród listowia rozkoszne
przebiegają dreszcze...
...Las słucha *siódmych* dziwnych
o słońcu, o wiośnie,
O ptakach, co zamorskie
oglądały dziwy,
Przysłuchuje się *trzecim*,
co płyną radośnie
Poprzez głuche ostępy
i zielone niwy..
— Wiosna, wiosna dokoła!...
Pora poczynania,
Radosny rozgwar ptaków
hymn miłości dzwoni...
Pełno szeptów tajemnych,
śpiewu i kląskania — — —
...Las słucha tej muzyki
i nisko się kłoni...

(Z niżej podanych sylab złożyć dziewięć na logogryf składających się wyrazów 5-literowych, których litery środkowe pionowo odczytane, dadzą rozwiązanie. Sylaby: *ba, bie, by, chom, e, gra, ki, li, lin, ma, mie, moć, ni, no, ny, sen, śni, wie).*

St. Millerowa, czł. Kl. Sz.

9. REBUS (5 pkt.)

Treścią rebusa (u dołu podanego) jest znane przysłowie.

K. Denasiewicz, czł. Kl. Sz.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ
czwartego Konkursu Kwart. 1931 (c. d.):

2. KRZYŻÓWKA MAGICZNA: *Mikroskop, kosztorys, Ostrowite, korniszon, pasternak.* (Zamiast Ostrowite podało kilka osób fałszywą nazwę: Ostrowica Ostrowiec, Ostkowina, Ostkowice).

3. BILET WIZYTOWY: *Redaktor „Ech Leśnych".*

4. ZAGADKA: *Ewa.* (W kilku wypadkach znaleźliśmy trafne rozwiązanie drugie: *Wit).*

5. CIĄGÓWKA: *Echa Leśne.* (Cecha, Anatol, Luter, roślina, amen, niechcąc, chata, alt, tlenek, kości, inspekt, ten, noc).

6. DOPEŁNIANKA: *Kurytyba, okulista, pikulina, alokucja, kanikuła,* [illegible] *kuł, kukuryku.* (Rozwiązania: karbunkuł, cyrkularz, — uznaliśmy za dobre, jakkolwiek niezupełnie ściśle określeniom odpowiadające).

7. KRZYŻÓWKA: *W dzień Bożego Narodzenia.* (Pionowo: agapy, skaza, ongi, arka, liman, rano, lama, sanie, skoki, salda, bona, Eros, okap, cela, ił, Po, pytaj, opust, czako, komar, ta, ul, mat, kura, lira, kat. Poziomo: udo, ognisko, opończa, sny, ara, dok, lir, las, si, arena, as, kmin, mina, boa, opona, ile, okno, cedr, oni, kamasze, Aon (Aol fałszywie!), ma, la, I. P., poborca, tu, Płomyk, lokale, atu, uczta, ima, taras, karat, ja, tango, ar, archanioł).

8. CIĄGÓWKA: *Dział szaradowy.* (Dzicz, Zambezi, igła, antał, łagas (łazus i łabus przyjęliśmy, lecz słownik takich wyrazów nie posiada). Sicz, zabawa, amator, rabata, akord, dłuto, odpływ, warowny).

9. SZARADA: *Echa Leśne.*

(Listę uczestników i wynik losowania podamy w następnym numerze).

Lista osób, które nadesłały rozwiązania, z podaniem ilości zdobytych punktów:

Apeltowa Natalja, Parciaki 28; „Alila", Warszawa 26; Bieńkowski Bohdan, Lublin 29; Briańska W., Nowawieś — Mochy 11; Ceglarska Ludwika, Dąbrowiec 28; Ciesielski Ludwik, Warszawa 20; Czekała Jan, Wola m. 14; Denasiewicz Kazimierz, Drohobycz 29; Dubikówna Hala, Janów 6; Dzwonek Władysław, Kielce 4; Gabrysiewicz A., Izdebno 11; „Gaspard", Warszawa 17; Górniakówna Celina, Warszawa 21; Katelbachowa Marja, Siedlce 28; Kawecki Wincenty, Modzerewo 12; Klimczak Roman, Warszawa 29; Klimczakowa Janina, Warszawa 29; Kołłupajło Stanisław, Kozłowszczyzna 7; Kowalska Jawna, Warszawa 29; Kozłowski Czesław, Warszawa 29; Kozuba Leon, Garby z. 15; „Koźlik" W. 9; por. Kreyser Edward, Warszawa 17; Kwiecińska Eugenja, Warszawa 29; Kwiekowa Jadwiga, Cukrownia Dobrzelin 29; Lankauf Kazimierz, Olszówka 29; Łopatto Jerzy, Warszawa 29; Łotowa Bronisława, Ruda k. 10; „Maryśka z Pohulanki" 29; Mikowska Stanisława, Warszawa 29; Miłoszówna Jadwiga, Leśna 12; inż. Modrzejewski Józef, Lublin 29; Mokrzycka Helena, Drohobycz 29; „Momuszara" 9; Ożarski Bartłomiej, Kabie 7; Pamejko Jan, Laszki 18; Reiss Jan, Złoczów 29; Rybakówna Sabina, Starawieś 14; Rzepacki Aleksander, Bąki 19; Sławnicki Teofil, Królewszczyzna 29; Surma J., Białystok 23; Szalówna Ludwiła, Lubin 2; „Szaulis", Warszawa 29; Teister Margarita, Susk 22; Tietz Zygmunt, Warszawa 29; Waksmundska Marja, Jasło 29; Wieliczko Eugenjusz, Pińsk 29; Wiltowska Zofja, Wojciechów 23; Wolakówna Dan., Warszawa 14; Zalewski Jan, Mosty 2; Zbyszowski Wincenty, Czerniawa 9; „Zdziebko", Mikołajów 11; Żaklina Stefan, Warszawa 14.

Wynik losowania nagród podamy w numerze następnym.

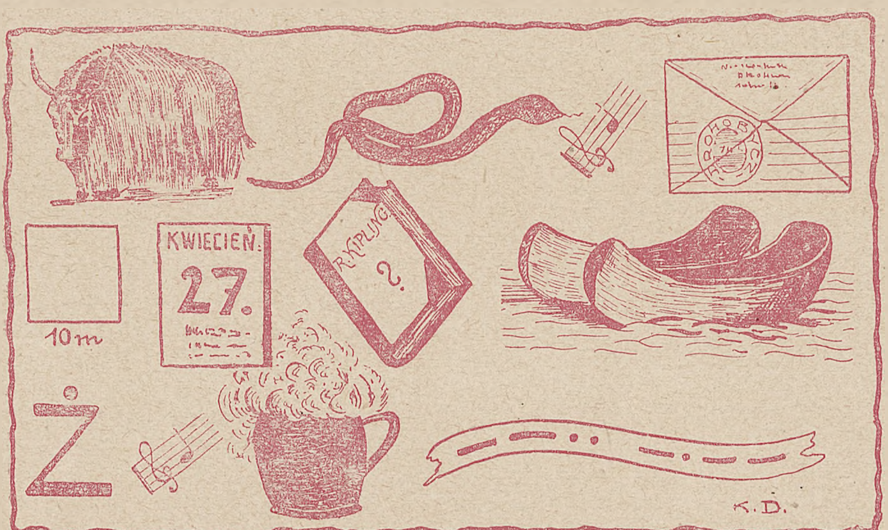
SKRZYNKA POCZTOWA.

WP. St. Pająk, Istebna. Witamy z radością nowego uczestnika naszego konkursu, oby tylko na stałe. Punkta w porządku.

WPP.: Hal. Kl. Zięciakowa, Herby Śl. i Jan Zipser, Popielowo. Załatwione.

Miłośnikom „Rozrywek umysłowych" polecamy gorąco działy rozrywkowe przez członków Klubu Szaradzistów prowadzone, mianowicie w warsz. miesięczniku „Rodzina Polska", tygodnikach „Ra", „Kino" i „Rara-Avis", oraz poczytnych dziennikach: lwowskim „Słowo Polskie" i lubelskim „Głos Lubelski".

M. Sł.



Redaktor: LEONARD CHOCIŁOWSKI Wydawca: ZWIĄZEK ZAWODOWY LEŚNIKÓW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

HUMOR

*



— Jak pani sądzi — kto z natury jest bardziej muzykalny — mężczyzna czy kobieta?

— Stanowczo mężczyzna.

— Dlaczego?

— Bo przecież każdy mężczyzna jest w dzieciństwie bębnem, potem smykiem, a na starość — cymbałem, trąbą, albo fujarą.

*

— Ogromnie cię kocham, tatusiu!

— I ja cię kocham, kiedy jesteś grzeczny.

— A ja tatusia kocham nawet wtedy, gdy tatuś jest niegrzeczny.

— Oj, panie, pański sklep musiała woda zalać w czasie powodzi — mówi gość do winiarza.

— Skąd znowu! Nie było u nas żadnej powodzi. Dlaczego pan tak myśli?

— A, no, ze względu na pańskie wino...

*

— Cóż to znaczy, że pani Wanda już pół godziny rozmawia z twoją żoną na schodach?

— Prosiliśmy ją, żeby weszła do pokoju, ale powiedziała, że nie ma ani minuty czasu.

*

— Do czego ty właściwie dążysz?
— Chcę znaleźć środki.
— Jakie środki?
— Środki, żeby dobrnąć do końca.
— Do jakiego końca?
— Do końca miesiąca i wypłaty pensji.

*

Kierowca samochodu: — Idzie pan przez ulicę, jakby ją pan wydzierżawił.

Przechodzeń: — A pan tak jedzie, jakby samochód był już spłacony.

*

— Do czego służy magnes?
— Do przyciągania żelaza.
— A złoto?
— Do przyciągania kobiet.

*

— Proszę pana, tam przyszedł jakiś człowiek z drewnianą nogą.

— Powiedz mu, że żadnej drewnianej nogi nie zamawiałem.

On: — Czy wierzysz w życie pozagrobowe?

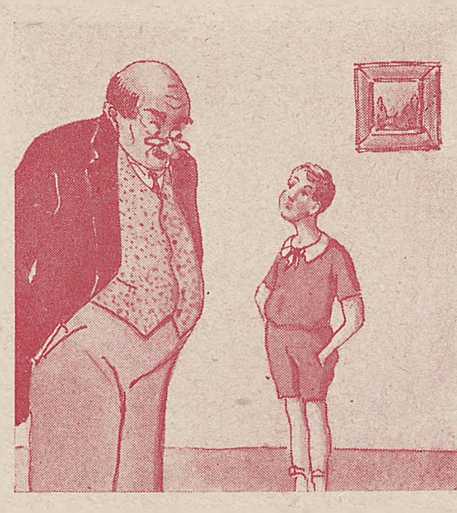
Ona: — Oczywiście. Pocóżby chowano oficerów w mundurach.

*

— Panie doktorze, niech mnie pan ratuje. Połknąłem 10 groszy, które mi mama dała na sprawunek.

— Nie płacz, dziecino. Masz tu drugie 10 groszy.

*



Tatusiu — co ludzie mieli wtedy, kiedy jeszcze nie było ani telefonu, ani patefonu, ani radja?

— Wtedy, moje dziecko, ludzie mieli spokój.

WARUNKI PRENUMERATY

„ECH LEŚNYCH"

	Zwyczajnej zł. gr.	Ulgowej (dla czł. Z. Z. L.) zł. gr.
Kwartalnie	4.—	3.—
Półrocznie	7.50	5 50
Rocznie	14.—	10.50
Zagranicą kwartalnie	6.50	5.50

CENA NUMERU POJEDYNCZEGO 1 zł. 40 gr.

KONTO CZEKOWE w P.K.O. Nr. 5.755.

Cena niniejszego numeru w Warszawie i na prowincji 1 zł 40 gr.
Żądać we wszystkich kioskach miejskich i kolejowych T-wa „Ruch".

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 36, TEL. 230-75

2363 Druk Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Ordynacka 3, tel. 644-59.